

# BLUSZCZ

*spoleczno-literacki ilustrowany  
tygodnik kobiecym*



W a r s z a w a,

S o l e c 87

telefon 2-44-18.

# „BLUSZCZ“

społeczno-literacki tygodnik  
kulturalnych sfer kobiecych

Ś-to Krzyska 17, m. 3, tel. 6-76-72.

W a r s z a w a,

pl. Zamkowy 9.

telefon 2-39-40.

Redaktor*ki*: *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW* (naczeln*a*) i *MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW*

Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*

Dodatek „Wychowanie i szkoła” pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*

Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87. tel. 2-44-18 i 5-87-03.

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE.

## Treść numeru:

Ulga dla sumień — *Jadwiga Krawczyńska*. Poezje: Miłość zmartwychwstaje — *Lucyna Krzemieniecka*. Sofos - Hamlet (Listy Zofji Węgierskiej do Stefana Buszczyńskiego). Poezje: Powrót — *Jadwiga Korczakowska*. Nieumyślna cnota — *Wanda Melcer*. Tymon i Laura — *Karolina Bielańska*. Moja podróż do Afryki — *Olga Tchórznicka*. Wielkanoc w puszczy Kurpiowskiej — *Jerzy K. Maciejewski*. Najlepsza opiekunka — *St. Osińska*. Technik pionierem higieny — *Dr. Feliks Burdecki*. Księga zażaleń — *Jadwiga Kalicka*. Ptaki Magdaleny Gross — *S. P. O.* Z teatrów — *S. P. O.* Z ubiegłego tygodnia — *H. N.* Literatura dla wsi czy wieś dla literatury — *Jadwiga Zieleńczykówna*. Kobieta w świecie i w domu. Projekt zatrudnienia pracowników umysłowych — *Z. G.* Ogrodnictwo i hodowla: Legi i wychów indycząt — *Marzenna Saryusz-Stokowska*. Dom obsadzony jednorocznymi pnączami — *Marzenna Saryusz-Stokowska*. Kalendarzyk ogrodniczy — Dom i gospodarstwo: Sprawy służbowe — *Wanda Dobrzańska*. Kursy o organizacji gospodarstw przykładowych w mieście i na wsi — *M. Karczevska*. Przepisy gospodarskie — *Milba*. Książki nadesłane do redakcji

## WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie—4.50 zł., kwartalnie—13.50 zł., rocznie—54 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87 i pl. Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — WARSZAWA Nr. 3700.

W y d a w c a : Tow. Wydawnicze „Bluszcza”, Sp. z ogr. odp.

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

## WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

$\frac{1}{1}$ str. tekstu	—	700.—
$\frac{1}{2}$ „ „	—	400.—
$\frac{1}{4}$ „ „	—	200.—
$\frac{1}{8}$ „ „	—	100.—
$\frac{1}{16}$ „ „	—	50.—
$\frac{1}{32}$ „ „	—	30.—

Okładka III-cia

$\frac{1}{1}$ str. okł.	—	500.—
$\frac{1}{2}$ „ „	—	250.—
$\frac{1}{4}$ „ „	—	150.—
$\frac{1}{8}$ „ „	—	80.—
$\frac{1}{16}$ „ „	—	50.—
$\frac{1}{32}$ „ „	—	30.—

Okładka IV-ta

$\frac{1}{1}$ str. okł.	—	600.—
-------------------------	---	-------

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ” ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „BLUSZCZU” powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

# BLISTO

SPOŁECZNO-LITERACKI  
ILUSTROWANY  
TYGODNIK KOBIECY

*Wszystkim naszym Czytelniczkom, Współpracowniczkom i Przyjaciołom naszego pisma przesyłamy najserdeczniejsze życzenia „Wesołego Alleluja“.*



Domenico Ghirlandaio: „Zmartwychstanie“.

# Ulga dla sumień

(Po zniesieniu sądów doraźnych)

Zniesienie sądów doraźnych przyjęte zostało przez społeczeństwo z głęboką ulgą. Znika z naszego horyzontu ponura karta sądownictwa, znika zmora, ciężąca nad sumieniem społecznym.

Rada Ministrów w marcu zniosła postępowanie doraźne, utrzymując je w mocy tylko dla spraw szpiegowskich. Wszystkie inne, a liczne, przestępstwa, przez kilka lat ostatnich podległe postępowaniu doraźnemu, będą odtąd sądzone w trybie zwykłym.

Nie wdając się tu w szczegółowe rozważania prawnicze, musimy zaznaczyć, że konstrukcja postępowania doraźnego w Polsce nosiła cechy szalonego pośpiechu w przeprowadzaniu rozprawy, obok szablonowego, niemal mechanistycznego wyrokowania. Wskutek tego istniała duża możliwość omyłek i niedokładności w postępowaniu, co nie przyczyniało się do powagi wymiaru sprawiedliwości.

Sądzone przestępców, mniej czy więcej niebezpiecznych, lecz przestępca ma prawo — według ulomnej sprawiedliwości ludzkiej — by go wysłuchano, by zważono wszelkie okoliczności przestępnego czynu, by dokładnie przesłuchano świadków i by wyrok był rezultatem dojrzałego przeświadczenia sędziów, nietylko mechanicznym zastosowaniem litery kodeksu.

Tych względnych zalet postępowania sądowego było pozbawione postępowanie doraźne. Opinia publiczna dowiadywała się niemal co dzień, co tydzień o nowych procesach w trybie doraźnym, rozgrywających się z szalonym pośpiechem, w dramatycznych okolicznościach... W pośpiechu wydany wyrok śmierci, telegraficzne odwoływanie się do łaski Prezydenta Rzeczypospolitej, zależne od godzin, dzielących wyrok od jego wykonania... Szczegóły egzekucji, mniej lub więcej wstrząsające, zawsze okropne, lub w razie ulaskawienia — bezterminowe więzienie.

Trzebaby mieć bardzo odporną wrażliwość i bardzo senne sumienie, by obojętnie przyjmować do wiadomości owe procesy i szczegóły egzekucyj, powtarzających się aż nazbyt często. To też oddawna wzbierało zaniepokojenie opinii publicznej. Nie wyrażało się głośniami manifestacjami i ostremi protestami, lecz było to jakby powszechne porozumienie sumień, natężony nurt wspólnej woli i moralnego wstrętu wobec nie do zniesienia okropności faktów. Od kilku miesięcy zaczęło się także wśród organizacyj kobiecych — z inicjatywy Ligi Pokoju i Wolności — świadome dążenie do poruszenia tej sprawy na forum publicznym, do wysunięcia żądania zniesienia sądów doraźnych w imię ludzkości, dobra Państwa i opinii Polski, w imię wreszcie postulatów wychowawczych matek.

Wprowadzenie postępowania doraźnego było motywowane, jako wyjątkowa norma w walce ze zbrodniczością. Należało się więc spodziewać, że trwanie sądów doraźnych będzie krótkie.

Przedmiotem postępowania doraźnego były przestępstwa, niekoniecznie wielkie, byle popełnione z bronią w ręce, z chęci zysku, z motywów politycznych i t. d.

To samo przestępstwo, za które w trybie zwykłym oskarżony może odpokutować 6 miesiącami więzienia (do 5 lat), pociągało za sobą w postępowaniu doraźnym albo karę śmierci, albo więzienie bezterminowe! Wśród straconych z wyroków sądu doraźnego była znaczna liczba ludzi bardzo młodych, co do których może istnieje przypuszczenie, że byli lekkomyślni, dużo jednostek ciemnych, biednych i zgnębionych niedolą, wreszcie pewna ilość przestępców politycznych, działających z pobudek ideowych.

Te wszystkie okoliczności, które w pośpiechu, wytworzonym przez tryb doraźnego postępowania, nie mogły być brane pod uwagę przez sędziów, niewątpliwie ze względu na swe tło społeczne byłyby uwzględnione przy wymiarze kary w sądzie zwykłym. Po 5-ciu latach istnienia sądów doraźnych wadliwość postępowania doraźnego krytykowali ostro zarówno prawnicy, jak wykonawcy, jak uspołecznieni obywatele. Nawet nie występując w obronie pod sądnych, nawet nie troszcząc się o ich los, widzieli jasno, jaki jest wpływ sądów doraźnych na społeczeństwo, stojące na zewnątrz, przypatrujące się działaniom sądownictwa doraźnego.

Kara śmierci, z jej całą ohydą, stawała się czemś zwyczajnym, pospolitem, codziennym — „normalnym“. Społeczeństwo stopniowo przyzwyczajało się do tej okropności, jak do chleba powszedniego.

A dziś właśnie w dobie niesłuchanie ciężkiego kryzysu ekonomicznego, w okresie nędzy, wywołanej bezrobociem i w zamęcie, podniecanym politycznymi wicherzeniami, sumienie zbiorowe musi być szczególnie czujne i wrażliwe, bo w wielu wypadkach przestępczość jest skutkiem nędzy, ciemnoty, opuszczenia człowieka. Dziś właśnie, bardziej niż kiedykolwiek, powinny dojść do głosu uczucia litości i współczucia dla winnych.

Niema nic groźniejszego dla przyszłości społeczeństwa, jak atrofja, znieczulenie sumienia zbiorowego, a sądy doraźne były tym narkotykiem, który zabójczo działał na sumienie, poddając mu pretekst obrony przed przestępczością, pozory ochrony społeczeństwa przed zbrodniarzami.

Atmosfera moralna, wytworzona przez długotrwałe istnienie sądów doraźnych, oddziaływała szczególnie szkodliwie na młodzież, która wzrastała w tym poczuciu, że sądy „doraźne“ są czemś normalnym, zwykłym, która oswajała się z tak wątpliwym i wadliwym sposobem wymierzania sprawiedliwości. Dlatego kobiety, obywatelki, matki, wychowawczynie młodych pokoleń, mają szczególny powód do zadowolenia, iż postępowanie doraźne w sądownictwie przestało prawie zupełnie istnieć.

Jadwiga Kramczyńska,

*Wielkanoc - to radosne, wiosenne święto.  
Pamiętajmy jednak o chudych dniach poświęconych  
i oddajmy cokolwiek na księżyczkę P.K.O.*

---

LUCYNA KRZEMIENIECKA

## *Miłość zmartwychwstaje*

*Jablonie i grusze  
kwitną już nanowo.  
Codzień spełnia się wiosna,  
jak Chrystusowe słowo.  
Kwiaty do kwiatów dodaje,  
przez słońce je mnoży.*

*Miłość zmartwychwstaje  
i drogą idzie Syn Boży.  
Tak dobrze i cicho,  
czy to tylko wiosenne rano,  
czy Chrystus błogosławiący  
u progu stanął?*



*Wiosenny poranek.*

*(Fot. Poddębski)*

# Sofos - Hamlet

(Listy Zofji Węgierskiej do Stefana Buszczyńskiego)

## LIST XXXI.

„Paryż — w Wielki Czwartek wieczorem. (1868).

Kochany Stefanie! Piszę do Ciebie w godzinie Wieczerzy Pańskiej — w godzinie największego zbliżenia ludzi z Bogiem na tej ziemi — godzinie w duchu spełnionej Ofiary.

W tej chwili przenoszę się myślą do Ciebie i proszę Boga, żeby nam dozwolił pozostać na wysokości zespolenia wolnego w całym znaczeniu tego słowa, bo nie skażonego cieniem interesowności, żeby w nas zachował to czyste uczucie, które nas zbliżyło, żebyśmy zapatrzeni w siebie, mogli pozostać głuchymi na swary i s(a)molubne sprawy ziemskie niecierpliwiające jak zjadliwe komary, a nawet kasaające śmiertelnie dusze, nie dążące do wyższego celu.

Tak nam Boże Dopomóż!

Życzenie Twoje „Vale et me Ama“ duch mój porwał jak głodny kawałek chleba, bo wierzyć i kochać, to warunek jego bytu, to dlań kwestya życia lub śmierci... Vale et Ama! mówię Tobie na odwrot, przelamując z Tobą kawałek chleba w myśli Chrystusowej. Chciałabym do tej komunii dodać resztek zapach róż, narcyssów białych i modrych hiacyntów z mojego stołu — cały zapach wiosny, a więc wiary, miłości i nadziei, żeby było nakarmione i Twoje ciało i dusza — których, jak wiesz, nigdy nie rozłączam. Może te wyrazy coś z tej woni Tobie przyniosą i z tego pokoiku, w który właśnie księżyc patrzy i przypomina wiele... a może dziwi się, że nie widzi wśród bluszczy drojga ludzi — że nie słyszy cudownego koncertu, złożonego z harmonii dwóch dusz nie pomszednich...

Spojrzałam na te wyrazy... i strach mnie zdjął, czy jesteś nastrojony do tonu mojej duszy? Boć nie zawsze można słuchać, a jeszcze mniej współczuć takie rzeczy... Jeżeli nie czujesz i nie rozumiesz — tem gorzej dla Ciebie! złoto nie przestanie dla tego być złotem, chociaż byś doń całą beczkę miedzi dosypał.

Ale nie! Toż nie musiałeś przestać być sobą — toż ja się tak grubo mylić nie mogę... a chociaż list Twój pisany tak jak by miał przechodzić przez moskiewską cenzurę, czytam między linjami: nie chcę czuć „pieprzu“ ani „lodowatego cukru“ — nie chcę słyszeć o zaściankowym teatrze, ani jego gwiazd widzieć — chcę czuć i widzieć to, czego w Twojem piśmie nie ma.

## LIST XXXIII.

Paryż 13 maja (1868).

Pytasz mnie, dlaczego nie piszę? Bo nie mogę! Pomiędzy nami wszystko jest nadzwyczajne. Do nadzwyczajności muszę zaliczyć koniecznie to, że chociaż myślą do Ciebie wybiegam ustawicznie, chociaż się dzieję skrycie każdym doznaniem wrażeń — chociaż czasem rozsadza serce chęć rozmowy z Tobą — skoro chcę do Ciebie pisać, nie mam słów...

Wątek myśli zwiija się nagle w kłębek i nie można jej rozwikłać... bierz te słowa za najświętszą prarodę, która mnie zdumiewa, a czasem przeraża, kiedy tak wyraźnie czuję, że jestem narzędziem tylko, w czyjś ręku... że JA tu żadnej roli nie gram — że moje JA, moje porywy, moje potrzeby są tylko sługami silniejszej woli.

Tak jak to, co czyniłam względem Ciebie dawniej, było dla mnie zagadką do perwonego stopnia, bo owa wola, chociaż zgodna z moją, przechodziła często granice mojej woli — tak teraz to co, się dzieje robrem popędowi mojego ducha, jest często męczarnią.

Tylko na Boga, nie myśl, że m zwariowała.

Jestem trzeźwa, trzeźwiuteńka, myśląca i rozumująca Greczynka; pozytywna, logiczna, pilnująca równowagi ducha z ciałem z matematyczną uwagą.

Ze wszystkimi mogę mówić — często nie źle — prócz z Tobą, z którym jedynie rozmawiać mam ochotę. Jest zupełnie przeciwnie, jak dawniej, kiedy mi coś dyktowało głośno słowa gorące i nakazywało posyłać je także prędko, prędko, żeby nie wystygły. Teraz to wszystko dobija się wyjścia i leczenia tą samą drogą, a nie ma sposobu objawienia Tobie tych uczuć...

Ach, ileż razy wzięwszy pióro, składać je muszę smutna do głębi duszy, bo zmuszona wierzyć, że Tobie nie potrzebna — że moje względem Ciebie posłannictwo jeżeli nie skończone, to zawieszona.

Powiedz, co to za siła, co mnie zamyka usta? Wytłomacz, jeżeli możesz, tę tajemnicę. Ty musisz mieć klucz od niej.

Odezwa Twoja napół przywróciła mi mowę. Piszesz, że Ci czegoś brakuje... Radośnie witam ten wyraz i tę chwilę melancholii, która Tobie natchnęła parę wyrazów, co jak kwiaty majowe tchną czarownym wspomnieniem i obietnicą — co przecie dozwalają piersiom odetchnąć powietrzem stosownem...

Nigdy cień kłamstwa pomiędzy nami nie powstał, i postać nie mógł, bo Dzięki Bogu stoimy względem siebie w nieziemskiej, wolnej od cienia interesu, pozycji. Dla tego nie wątpię, że jak poznałszy mnie, unierzyłeś wszystkiemu, co Ci mówiłam, tak i tą razą to tłumaczenie mojego milczenia uważać będziesz za prawdę najszczerzą. Rumienię się, że przypuszczam niedowierzanie z Twojej strony. Ale żyjącemu w stosunkach z ludźmi, w stosunkach z kobietami mianowicie, co zawsze pod welonem uczucia interes krwi albo pozycji chorują, tak trudno wierzyć, że mimowolnie, ten krzywdzący uczciwą duszę wyraz „wierz mi“ na usta powraca.

Struto nas kłamstwem, spodlono niemością — nic dziwnego, że rozmawiając z sobą, submitujemy się, jak kłamcy.

Że w starym, omszałym Krakowie zadowolony się nie czujesz, to dla mnie rzecz naturalna. Dziwiłabym się jedynie, żebyś był zadowolony — żebyś

ro kółku ciasnym mógł z duszą ugrzęznąć, i nie mówił mi, jak Konrad: „Wielkie serca, Aldono, są jak zbyt wielkie ule, miód ich zapelnąć nie może, stają się gniazdem szerszeni“.

To nasz los. Los wszystkich nam podobnych szaleńców... A jednak, ja moich tortur nie oddam za ich cały spokój, za ich całe życie, które trawieniem jest, nie myśleniem. Torturą jest droga do nieba“.

... „Żebyś wiedział, ile kwiatów kwitnie teraz tutaj — pokoik jest jednym kłębem — oddycha się w nim wonią zmieszaną konwalii, pomarańcz, róż i rezedy... Żaluzie przyknięte wpuszczają dzień nie jasny — w półcieniu wszystko fantastyczną przybierać postać... Podłogę wysłałam dywanem białym w karmazynowe arabeski maurytańskie. Twój fotel



purpurą obity... lepiej mi się tak na nim Troja głowa rysuje... dobrałam kolor do hebanu Troich włośców — we drzwiach naprzeciwko, misi zasłona też biała, w tężowe pasy — jest i w tem tajemnica dotycząca progę... Słowem tak tu miękko, cicho, pachnąco, jakby nie na ziemi — tylko czasem tęskno, tak strasznie tęskno, jak na ziemi!“

JADWIGA KORCZAKOWSKA

## Powrót

Pożegnałam postrzezione śnieżyste obrusy,  
splamione liljowym atramentem krokusów.  
Gewont mnie błogosławi ostrym znakiem krzyża —  
wracam.

Każdą chwilą jestem ciebie bliżej,  
lecz każda chwila dłuży drogę zamiast skracać:  
nabrzmiwa niecierpliwą tęsknotą.

Wiem — wracam przecież poto,  
aby znów z tobą los dzielić...

O, jakże długo było czekać naszej świątecznej niedzieli!

...Marzę: już pewno w pulchnej ziemi drażą plugi,  
pod jasnym niebem śpiewa skororunkowa radość...

Dłonie twój list na sercu czule, miękko kładą;

twój list, który mi przyniósł szczęścia zmartwychwstanie!

Modlę się: dzięki, siło, która odwalitaś kamień!

Siło, która potrafisz dni ciemności skracać!..

— Wracam!



# Nieumyślna cnota

(Powieść)

1)

Jedyną osobą, która tego faktu nie chciała nigdy przyjąć do wiadomości, był właściwie ojciec. Adelcia przebywała dużo z matką, chociaż robiło jej to przykrość, męczyło ją i wyczerpywało nerwowo. Twarz matki była teraz zupełnie inna od tej zapamiętanej z dzieciństwa, piękne kiedyś, jakże często marszczone brwi wyrastały nierówno, gubiąc się na skroniach w szerokich rosochach, dół twarzy podobny był do baumkuchenu: coś tam zawsze przy pochyleniach w rozmowie w którąś stronę opadało.

Ojciec mówił:

— Jak możesz być tak zupełnie obojętna? Zabierz matkę, idźcie razem do kina, masz przecież swoje pieniądze.

Adelci szkoda było pieniędzy na bilet dla matki, a przytem bardzo ją to męczyło i odbierało wszelką chęć rozrywki. Kiedy naprzykład amant nachylał się nad amantką i całował ją, matka pytała zaraz prawie głośno:

— Kto to jest? Dlaczego on ją całuje?

Trzeba jej było wszystko tłumaczyć, a i tak zaraz zapominała. Osoba, która wyszła za drzwi, była dla jej uwagi stracona, z trudem ją poznawała, kiedy wchodziła z powrotem, i zaraz pytała znowu?

— A to kto?

Adelcia tłumaczyła jej niezmordowanie, że to właśnie ten sam pan, który przedtem wypił truciznę, ale to nie podziałało.

— A ja myślałam, że to ten, który ją przedtem całował.

W ciszy odwracały się do nich niecierpliwie głowy, i rozlegały się sykania, nakazujące spokój. Wtedy matka wstawiała w całej swojej zawsze jeszcze prostej i gibkiej postaci i chwilę tak stała, zasłaniając obraz tym, którzy za nią siedzieli.

— Mamusiu, mamusiu, niech mamusia usiądzie! — błagała szeptem Adelcia.

— Zaraz siadam, co ci to szkodzi, ale palto mi się podgięło i uwiera w nogę — odpowiadała i wreszcie siadała, przywykła nie rachować się z niczyją, tylko swoją własną wygodą i zachciankami.

Tak było zawsze, nie było wypadku, żeby owa przyjemność odbyła się w inny sposób. Ale wtedy znowu ojciec był zadowolony. Adelcia patrzyła i śmiała się gorzko, patrząc, jak chciał oto napróżno zdobyć znowu dla siebie miłość, a choćby tylko uwagę swojej dawnej żony, i jak ona, zawsze jedna-

kowo pyszna, pomiatała nim i odtrącała wszystkie drobne atencje, którymi ją otaczał. Tego obcego pana, Kercena, nie wspominała wcale, jakby nie był istniał, przynajmniej Adelcia nie słyszała nigdy od niej jego imienia, choć wiedziała, że wabił się Ksawery. Ubrana w jasne suknie, wszystkie swoje dawne suknie, siadywała zwykle przy stole w wielkim fotelu, czytając zawsze jedną i tę samą książkę, której kartki odwracała niedbale i zależnie od kaprysu, to w tył, to naprzód. Czasem też wyszywała na kanwie proste wzory, które jej rozpoczęła Adelcia, póki włóczki nie zjadły mole. Już w lecznicy, gdzie przecież przebywała pół roku, a oczywiście i potem w domu lekarze nie pozwalali jej nosić żałoby po mężu, a ona nie nalegała, jakby jej to było zupełnie obojętne. Lubiła swoją starą suknię w deseń turecki i tę miała najchętniej na sobie.

Ojciec czuł się niby coraz lepiej, atak, który kiedyś tak ich przeraził, więcej się nie powtórzył. Chodząc, czuwał jednak Podolski nieznośne duszenie w piersiach, tak, że co kilka kroków musiał przystawać, żeby odpocząć. To samo było, kiedy się czemś zdenerwował, albo zmartwił, ale nie zawsze dało się tego uniknąć. Zarabiał teraz trzysta złotych na miesiąc w małym, prywatnym biurze, a prócz tego miał u siebie trzy razy tygodniowo komplet nauki buchalterji, więc trochę tam do tego dochodziło. Adelcia dawała lekcje francuskiego i angielskiego, ale niewiele jej to przynosiło, bo oczywiście każdy wolał rodowitą Francuskę czy Angielkę. Prócz tego — co za szczęście — od czasu do czasu bywała zapraszana na małe koncerty na prowincję, co jej przynosiło od pięćdziesięciu do stu złotych za występ i koszty. Były to takie niespodziewane i miłe dodatki, zawsze jakoś z nieba spadające. Śpiewała na tych koncertach stare włoskie piosenki, albo francuskie berzerety z akompanjamentem smyczkowego trio, albo przy fortepianie i jej głos wszystkim się podobał, chociaż zawsze pisano, że jest mały. Trudno go było powiększyć, chociaż można było doskonale wyuczyć się każdej aryjki, prześlicznie ją wymówić i wydeklamować. Rzeszów, Stanisławów, Tarnów, a potem Lublin, a potem Radom i Kielce, to była zwykła arena Adelcinych popisów, gaje laurów, z których zrywała listki sławy. Myślała też sobie przy tych wyjazdach najrozmaitsze rzeczy, czy też się spełnia. Trzeba jednak

bezbosronnie przyznać, że jej narzeczony nie był bardzo zadowolony z tych popisów, a szczególnie już się martwił, kiedy wypominano Adelci mały głosik. Zresztą był dobry, naprawdę dobry, aż niewłaściwie dobry. Naprzykład taki fakt: kiedyś zauważył, że Adelcia ma już bardzo zniszczone wiosenne palto:

— Twoje palto przeciera się na szwach.

Adelcia zaczerwieniła się, i pomyślała, że trudno było tego nie zauważyć, ale można było przynajmniej o tem nie mówić. Kiedy zobaczył jej rumieniec, powiedział:

— Ja mam dwa palty, bo kazałem sobie niedawno zrobić nowe, ale tamto nie jest jeszcze wcale zniszczone. Mogę ci je przysłać, to każesz sobie przerobić, teraz, zdaje się, takie męskie materiały są modne dla pań.

Jeszcze bardziej zarumieniona, podziękowała z zażenowaniem. Wydało jej się to w najwyższym stopniu niewłaściwe. I nawet w wiele lat potem, kiedy ten epizod sobie przypominała, wydawał jej się jednym z najdziwniejszych w jej życiu.

Ale wróćmy do matki, do której i tak trzeba przecież było ciągle wracać. Otóż w kwietniu przypadały jej imieniny. Nie było jeszcze ciepło i Adelcia osądziła, że najodpowiedniejszym dla niej prezentem będzie para czarnych, skórkowych rękawiczek. Zresztą było rzeczą wiadomą, że i tak, cokolwiek jej się kupi, będzie niezadowolona. W tym celu należało tylko sobie przypomnieć z zamierzonych czasów (o czem sama chętnie wspominała), jak kiedyś, kiedy jeszcze była żoną ojca, ojciec podarował jej wspinałkę, ogromne, skórą zieloną obite pudło do manikiuru, prezent luksusowy i zgola niewspółmierny z jego zwykłymi wydatkami. Boże, ileż miała z tego złośliwej zabawy.

— Pudło do nożyczek! pudło do nożyczek! — wołała, śmiejąc się dźwięcznie, i długie lata nie mogła mu tego prezentu zapomnieć. Inne mniej były ostentacyjnie kosztowne, więc może dlatego uniknęły jej wzgardy.

Przed temi właśnie imieninami, ojciec zmuszony był wyjechać za interesami swojego biura, chociaż wszelkie podróże bardzo go męczyły i właściwie nie powinien był tego robić. No, ale jednak wyjechał. Jak się tam rozmówili przed wyjazdem, niewiadomo, dość że potem, na kilka dni przed imieninami, przyszedł taki list, w połowie pi-



## System dwóch kremów

sany do matki, w połowie do Adelci. Adelcia wiedziała doskonale, że nie czyta się cudzych listów, nawet wtedy, kiedy są pisane na połowce własnego, ale nie mogła się oprzeć i przeczytała te kilka słów z gorzką, palącą ciekawością:

„Kochana Anusiu — pisał tam — na imieniny twoje, które się teraz zbliżają, nie posyłam ci życzeń, bo wiem, że odesłałabyś je z powrotem i wogóle nie chcesz ich mieć ode mnie. Liczę się więc z tem i jestem cicho. Zamiast prezentu posyłam ci pięćdziesiąt złotych, to, co obecnie mogę. Może ci się to na co przyda. Na drugiej kartce piszę do Adelci. (—) Jan“.

A na tej kartce do Adelci tak było napisane:

„Najdroższa córeczko, jestem tu już czwarty dzień i załatwiłem prawie wszystko, tak, że za dwa dni będę mógł wrócić. Szkoda, że to tak niedobrze wypadło, akurat na mamusi imieniny. Napisz mi jeszcze, pewnie list zdąży przyjść, co kupiłaś mamusi na imieniny, i wogóle, jak to wszystko urządziłaś, czy jej było przyjemnie. Całuję mocno. (—) Tatus“.

Było przecież doskonale wiadomo, jak to wszystko szło: ojciec tak dalece nie miał pieniędzy, że nawet nie mógł pani Kercenowej nic zostawić, tylko musiał jakies zarobione pieniądze przysyłać z drogi. Wyrugowana tak nagle z pierwszego miejsca w domu, Adelcia patrzyła na wszystko, co się działo, z pełną podziwu rozpaczą, jak na coś niewłaściwego, czego nie było się w mocy zmienić. Wydawało jej się to tylko ponad miarę straszne, chociaż w tem strasznie musiała nie tylko żyć, ale nawet współdziałać, niejako temu straszemu pomagać.

Jej rola była czynna, chociaż właściwie była bierna, na to wychodziło. Była poprostu biernie czynna i teraz także. Wykonywała wszystko, co trzeba było zrobić, jak za dyktandem.

Więc kazała Rozalji upiec keks z rodzynkami, bo wiedziała, że matka taki lubi, i kupiła dwa hiacynthy, jeden różowy, a drugi lila, no i te rękawiczki. Wszystko było podług programu, nawet niezadowolenie matki. Szczególnie nie podobały jej się rękawiczki:

— Kupiłaś mi, jak dla babci.

I rzeczywiście, po niewczasie przypomniała sobie Adelcia, że naprawdę takie właśnie czarne, glansowane rękawiczki kupowała zwykle matka na imieniny dla babci, jako właśnie dla starszej osoby najodpowiedniejsze. A teraz ona sama była starszą osobą i, co gorsza, zauważyła to, ona, co zwykle taka była roztargniona i mało z czego zdawała sobie dokładnie sprawę.

Na keks i herbatę przysły dwie matki koleżanki, które ją czasami odwiedzały, i przyniosły jej jeszcze jedną pudełko ciastek, a druga torcik z masłem kakaowem. Nad wie-

Niejedna z Pań zawdzięcza długotrwałą świeżość cery wcześniej rozpoczętej, racjonalnej pielęgnacji. Niezależnie od mycia przetruszczone mydłem, twarz powinna być natłuszczona dobrym kremem.

Bardzo dobre rezultaty daje stosowanie na zmianę dwóch kremów „Sportowego“ i „Lanolinowego“ M. Malinowskiego. Pierwszy z nich powinno się używać na dzień po starannem umyciu i osuszeniu twarzy. Najlepiej jest wmasować krem,

lekko potrzepując twarz palcami. Unikać prowadzenia palców ku dołowi twarzy. Po wtarceniu kremu przypudrować „pudrem higienicznym M. Malinowskiego“. Wieczorem po ponownem starannem umyciu można posmarować twarz grubszą warstwą kremu „Lanolinowego“. Wytrwale stosowany system dwóch kremów daje skutki nadzwyczajne.

Apteka, ul. Nowy Świat 31. Lab. Chem.-Farm., ul. Chmielna 4.

czorem przyszedł także Andrzej i przyniósł pudełko czekoladek od Wedla, o co był specjalnie przez Adelcie proszony.

Uroczyście pocałował przysłą teściową w rękę i wręczył jej swój prezent. Matka, zadowolona z czekolady, schowała ją czempredzej do szafy, pod swoje suknie, żeby się nią mogła dłużej rozkoszować, z nikim się nie dzieląc. Pokrajała tylko torcik, ale nie był smaczny, trzeba go było potem przez kilka dni dojadać, póki się ostatecznie nie zepsuł.

Tak, ojciec powinien był być zadowolony.

— Dlaczego płaczesz, Adelciu? — zapytał się potem Andrzej Adelci, kiedy już siedzieli razem w dużym, półciemnym pokoju.

— Wcale nie płaczę — powiedziała Adelcia — ale wiesz, to ordynarnie, że ja o tem mówię, chciałabym, żeby nasz ślub odbył się niedługo. Wiem, że to niemożliwe, dopóki nie będziesz miał dosyć pieniędzy, żeby kupić mieszkanie, ale tak jakoś, wolałabym.

Andrzej westchnął w ciemnościach, i to jego westchnienie było bardzo wiele mówiące.

— Nigdy nie myślałem — powiedział potem, — że będę ciebie tak kochał, i że to wszystko, co prze-

żywasz, będzie dla mnie takie ciężkie.

— Ja czasem myślę — na to Adelcia — że samo założenie mojego życia było jakies niefortunne, inaczey nie umiem sobie tego wszystkiego wytłumaczyć. I widzisz, jaką jestem egoistką, myślę tylko o sobie.

— Dlaczego — założenie?

— No tak, początek był zły, i stąd wszystko idzie.

Andrzej zniecierpliwził się.

— Naprawdę, jesteś przesadna. Kiedy to wszystko przeminie, zobaczysz dopiero, jak krótko trwało i jak nie trzeba było na to zwracać najmniejszej uwagi.

Potem rozmawiali jeszcze dłużej na temat przemijania. I naprawdę, doświadczenie uczyło, że ubiegłe epoki w życiu wydają się zawsze potem niesłychanie odległe, chociaż naturalną tendencją człowieka jest wyobrażać sobie, że stan obecny będzie trwać wiecznie. „Ludzimy się, nic nie trwa wiecznie!“ powiedział jeszcze Andrzej, chociaż trudno było uwierzyć w prawdę jego słów. Po jednej nadchodzi druga epoka w życiu, i wtedy pierwsza idzie w zapomnienie, tak, że nawet wyobrazić sobie trudno, że się w niej trwało.

(D. c. n.).

Wanda Melcer.

---

## TYLKO 30 GROSZY

ZAMIAST 50-ciu kosztuje obecnie numer **TYGODNIKA**

## „KINO“

Objętość numeru, format, treść, dobór i wykonanie ilustracji jak dotychczas.

**Prenumerata mies.**

wraz z przesyłką pocztową **1 zł.**

---

# Tymon i Laura

## III. LAURA.

Szesnaście lat miała hrabianka Lorcja Siemianowska, gdy ojciec postanowił wydać ją za mąż. Była bardzo ładna: „Twarzyczkę ściągnęła o rysach drobnych, a jednak wyrazistych rozświecały ciemne, pełne blasku, a jednak smutno patrzące oczy”<sup>1)</sup>. Smutek wzięła po matce, która odumarła ją w jedenastym roku życia, licząc lat zaledwie 28, zgaszona lodowatą atmosferą u boku męża-despoty.

Hr. Hilary Siemianowski był takim domowym tyranem, o jakich często prawią kroniki anegdotyczne owych czasów. „Chłodny aż do srogości, despota i egoista” ożenił się bez miłości; w młodociany romans z biedną dziewczyną włożył pierwsze uczucia serca, które potem stwardniało i zgorzkniało.

Młoda Szwajcarka, bona, Krystyna Grottger dała mu syna, zaopatrzył matkę i dziecko, ale nie troszczył się zbyt o chłopca. Dopiero kiedy z czasem powiedziano mu, że ma wnuka, w którym odżyły jego rysy, zajął się tym malcem, z którego wyrósł potem dzielny ułan i dobry malarz: ojciec Artura Grottgera.

Tymczasem córcę okazywał mało serca. „Od lat najmłodszych wzbudzał w niej tylko bojaźń. Pozwalał się pocałować w rękę rano i wieczór, a gdy dziecko chciało się doń przygarnąć, odsuwał je chłodno: „Nie cierpię egzaltacji” — powtarzał nieraz”<sup>2)</sup>.

Dbał o wykształcenie talentów Laury, nie żałował pieniędzy na najlepszych metrów muzyki, śpiewu i malarstwa, ale chłodna jego wola ciężyla jak kamień na młodej istocie i zgasła w niej zawczasu radość życia, nie dając rozkwitnąć wszystkim utajonym możliwościom tej bogatej natury.

Lorka była żywa i impulsywna, a nie miała żadnego ujścia dla swego gorącego pragnienia czułości. Jedynie stara klucznica Marta pieściła pokrywom sierotę i była dla niej pierwszą nauczycielką patriotyzmu i polskości.

Zwykła to historia. Przypomnijmy sobie Tatjanę u Puszkina (rówieśnicę Laury), a choćby późniejsze o wiele powieści Orzeszkowej. Później w zacnym domu Wasilewskich we Lwowie znaleźć miała kształconą po francusku panią pierwszą wiadomości o literaturze polskiej.

<sup>1)</sup> Cytuję w tem opowiadaniu często Felicję z Wasilewskich Boberską, która dzieckiem znała panią Laurę, zaprzyjaźnioną z domem Wasilewskich i miała w ręce jej pamiętniczek, zaginiony obecnie.

<sup>2)</sup> Portret hr. Hilarego Siemianowskiego, malowany przez Józefa Grottgera, był reprodukowany w dziele: „Artur i Wanda”, wydanem przez Bibliotekę Medycką.

Tę śliczną „delikatną, żadną tkliwością dziewczynę” zamierzał ojciec wydać za człowieka mało co młodszego od siebie, „zużytego zepsutego młodocianością”, budzącego w niej poprostu odrazę. Zrozpaczoną, po naradzie z nią, odważyła się Laura na krok naiwnej. Gdy konkurent przyjechał, udało się jej zostać z nim sam na sam. Odwołała się do jego szlachetności, blagając, aby jej nie zmuszał do związku bez miłości, aby zrezygnował i sam odstąpił od marjażu, planowanego przez jej ojca. Prawie uklękła przed nim.

Podstarzały cynik uśmiechnął się pobłażliwie (taka była ładna, cała w ogniach i łzach!):

— *Vous êtes adorable, ma chère enfant, mais trop exaltée!* — rzekł, podnosząc ją z klęczek. — Zaręczyny nasze są postanowione i już się to zmienić nie może”<sup>3)</sup>.

W samej rzeczy, za kilka dni odbyły się uroczyste zaręczyny niedobrej pary, a za kilka miesięcy ślub.

Hrabia Albert Zawiejski nie cieszył się dobrą opinią. Równie despotyczny i chłodny, jak jego teść, był od niego gorszy. Siemianowskiemu nie można było odmówić zalet umysłu i poczucia obywatelskiego, Zawiejski i tych przymiotów nie posiadał. Cynik, złośliwy, skąpy, twardy dla poddanych, Młoda, wrażliwa kobieta przeszła przez istne piekło rozczarowań i udręczeń.

Czasem przebijała się w młodej mężatce wesoła żywość, była jeszcze dzieckiem prawie i mogła dokazywać z ulubionym psem, jak dziecko. Ale mąż potrafił zgasić i te drobne przebłyski radości.

Przeszedłszy z pod despotyzmu ojca pod gorszą o wiele, podejrzliwą i zazdrosną władzę małżonka, uległa dziedzicznej skłonności do melancholji. Zdrowie jej zaszwankowało poważnie, aż przeraził się obojętny dawniej ojciec. Może poczuł wyrzuty sumienia? Sprowadził do chorej najlepszych lekarzy.

Choroba pani Laury obudziła ogólne współczucie, choć mało kto znał ją osobiście. Państwo Zawiejscy sprowadzili się na Podole, do Horodnicy nad Zbruczem, w r. 1819, a młoda pani wnet zasłaбла. Leczkowce były w najbliższym sąsiedztwie Horodnicy; stary hr. Siemianowski, bawiąc przy chorej córce, odwiedzał często dom Zaborowskich. Wytworny, piękny jeszcze starzec o wysokiej kulturze i „pogodzie ducha” podobał się Tymonowi, a opowiadanie o chorobie córki rozczuliło młodego poetę.

<sup>3)</sup> Felicja z Wasilewskich Boberska: „Opowiadanie zdarzeń rzeczywistych”, pisma Lwów 1893.



Laura Siemianowska.

„Tak więc między życiem, a śmiercią pozostaje ta nie-szczęśliwa młoda osoba, podobna losom swoim matce, także w młodym wieku ze świata porwanej“, pisze do przyjaciela i niebawem donosi, że p. Zawiejszy „o chorobę umysłu posadzona“, ma się lepiej. W r. 1821 poznaje ją osobiście.

Młoda kobieta wyzdrowiała i nawet powesełała. Choroba była dla niej ucieczką od smutnej rzeczywistości, była bodaj chwilowem wyzwoleniem. Przez czas jakiś stała się centrem zainteresowań całego otoczenia, tyranja męzowska straciła swoje prawa, ojciec stał się czulszym, niż kiedykolwiek opiekunem.

Pobył w uzdrowiskach, we Lwowie rozwinął i rozbudził zastygłe już umysłowe i artystyczne zamiłowania. Dom Tadeuszostwa Wasilewskich był ośrodkiem literackich i społecznych zainteresowań.

Buntowano się przeciw supremacji „klasycznej“ Warszawy, która „z bardzo wysoko i ze śmiałem uroszczeniem“ spoglądała na zabór austriacki. Otwierano natomiast chętnie wrota młodemu romantyzmowi z litewskich borów.

Bardzo cenił marszałek Tadeusz Wasilewski talent młodego przyjaciela, Tymona „Miodobiorczyka“.

„Szczerem życzeniem wszystkich znawców literatury jest, aby nie ustawał w tak świetnie rozpoczętym zawodzie“. Uważano, że „autor genialny“ okazał „jedyny talent do epeji“<sup>4)</sup>.

— Może dorówna Mickiewiczowi? Może go przewyższy? — Pani Laura z pewnym szacunkiem zaczęła spoglądać na cichego, miłego sąsiada.

Wróciła do Horodnicy, w duchu żalując swobody, którą jej na chwilę dała choroba. Mąż „posiadacz“ wszedł znów w swoje prawa.

W jesieni 1822 r. młoda sąsiadka wyda się poecie „nie tak, jak dawniej wesoła, mało mówiąca, jej wzrok, postawa i sposób mówienia zdawały się zgadzać z porą wieczorną“.

Choć tak zgaszona, uroda Laury wabiła świeżo rozkwitłym wdziękiem. Teraz dopiero, z zahukanego dziecka zbudziła się kobieta.

<sup>4)</sup> Polyhimnia czyli piękności poezyj autorów tegocześnie. Lwów 1827.



Tymon Zaborowski.

Ciężyło jej jarzmo człowieka, którego ani kochać, ani nawet szanować nie mogła, ale odnalazła saam siebie.

Subtelny znawca kobiet, ironiczny zazwyczaj piosenkarz, „Stach z Zamiechowa“ (Stanisław Starzyński, sąsiad z bliższego Zbrzyzia), będzie słowem i piórem wielbić uroczą sąsiadkę, której nada przydomek „nieporównanej“ (ulubiony to przydomek poetów romantycznej epoki: „*donna incomparabile*“).

Na kresach podolskich łączy się wówczas ścisłą zażyłością gromadka poetów najróżnorodniejszej skali, od nudnego klasyka, Rajmunda Korsaka, do romantyka *pur sang* Maurycyego Gosławskiego, do „lirnika“ Padurry.

Ten jeden podobno podchwycił tajemnicę, której sam Tymon sobie jeszcze nie wyjawiał i kiedyś wypowie ją wierszem (wyjątkowo w ojczywym języku napisanym):

*Boże, skąd tyle krasy w mowie  
tyle wdzięku,*

*Szlachetności na twarzy, słodyczy w uśmiechu?  
Czy ma ziemia być rajem, czy ludzie bez grzechu,  
że składasz berło łaski w swego dzieła rękę?  
Wszyscy jej mirrę palą, ona wszystkich darzy  
Nadziejami zbarwienia na omamień twarzy.*

*Ja kiedy czasem we śnie  
jej obraz zobaczę,  
Budzę się, chcę go uczyć,  
ukłękam i płaczę.  
Wczoraj mogłem za ledwie  
roladzę myśli zebrać,  
By jej odkryć ból serca,  
czy o litość prosić...  
To nad siły śpiewaka  
tyle cierpień znosić!*

*Czemu dech żywota  
Wzmaga ogień uczucia  
i żar w serce miota,  
Nim gorączką strawione  
strawi się i zaśnie,  
Dalej życia ostatki!  
jeszcze myśl istnienia,  
Widzi przyładek duszy  
na morzu zbarwienia<sup>5)</sup>.*

Karolina Bielańska.



Florjan Łaszowski (wg. portretu Józefa Grottera).

<sup>5)</sup> Pisma Tomasza Padurry, wydanie pośmiertne: „Ostatnia Myśl Tymona Zaborowskiego“, napisane w r. 1828, wnet po śmierci poety.

# Moja podróż do Afryki

Nakoniec miały się spełnić moje najśmielsze marzenia! Mam bilet okrętowy w kieszeni, wyjeżdżam za kilka dni z Hamburga do środkowej Afryki. Tak się żegnałam ze znajomymi w Warszawie, by zdążyć na statek, odchodzący z niemieckiego portu 2 lipca 1932 r.

Okręt nosił piękną nazwę „Ubena“, namalowaną wielkimi literami na dziobie statku, było to imię jednego z dumnych plemion czarnego lądu.

„Ubena“ to luksusowy, pływający hotel, urządzony z wielkim kom-



Okręt nosił piękną nazwę Ubena...



Pierwszy raz z egzotyczną Afryką zetknęłam się w Ceucie...

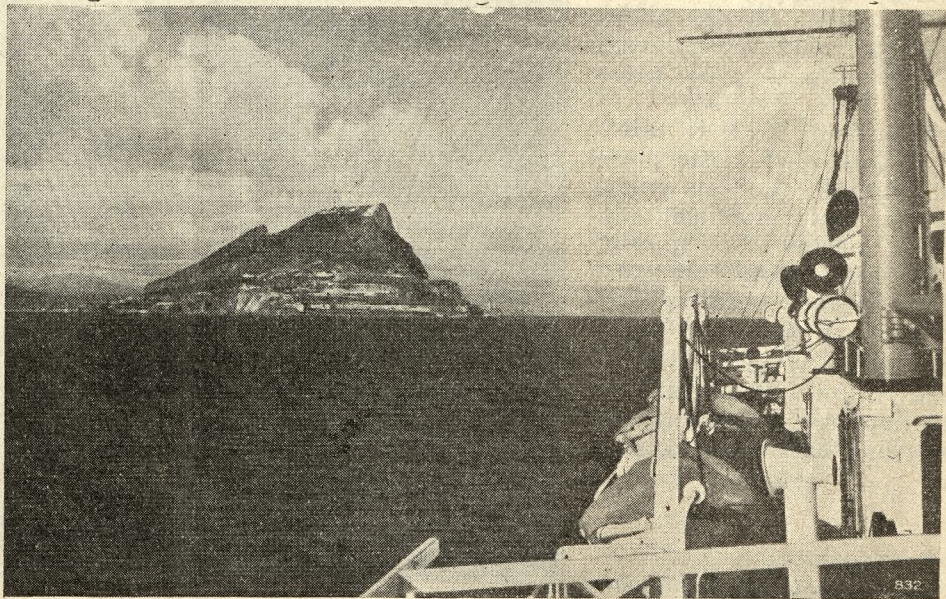
fortem. Towarzystwo bardzo kosmopolityczne, przeważali Anglicy, którzy z wielkim hałasem wsiedli w angielskim mieście portowym Southampton. Zajęli wolne miejsca, a nazajutrz na pokładzie roilo się od wysportowanych młodych Albionczyków z raketami w ręce do „bord-tenisa“, z przyborami do golfa i do różnych gier, uprawianych na pokładzie statku.

W salonach gromadziło się towarzystwo do bridge'a i szachów, dzieci zabawiały się w młynka i damę. Wieczorami orkiestra statku grała do tańca; stateczniejsi ze słuchawkami na uszach słuchali radja, lub w wygodnych fotelach pobocznych sal czytali książki z bogatej biblioteki okrętowej. Trzeba było czemś zapełnić czas morskiej podróży, bo miałam przed sobą aż pięć tygodni żeglugi do czarnego lądu. Obawialiśmy się wszyscy burzli-

wych fal w zatoce Biskajskiej, ale jakoś morze wyjątkowo było dla nas łaskawe i w najlepszych humorach dojechalśmy do pięknej stolicy Portugalji Lizbony.

Prócz wrażeń, które wyniosłam z dwudniowego zwiedzania miasta, zostało mi jedno w pamięci. Tłumaczyłam pięknej smagłej urzędniczce przy okienku na poczcie, jak wysłać list pocztą lotniczą, nie nie zrozumiała, ani francuskiego „par avion“, ani angielskiego „air-mail“: dopiero kiedy podniosłam kopertę i naśladowałam ruchy ptaka w powietrzu, błysnęła białemi ząbkami, zaśmiała się i rozłożyła ręce, że żałuje: „nie mamy jeszcze tego urzędnika“.

Pierwszy raz z egzotyczną Afryką zetknęłam się w Ceucie, w hiszpańskim porcie. Upał był niesłychany, tak że odetchnęliśmy, kiedy po krótkim postoju „Ubena“ zdążyła dalej przez cieśninę Gibraltaru, obok twierdzy, bacznie strzeżonej



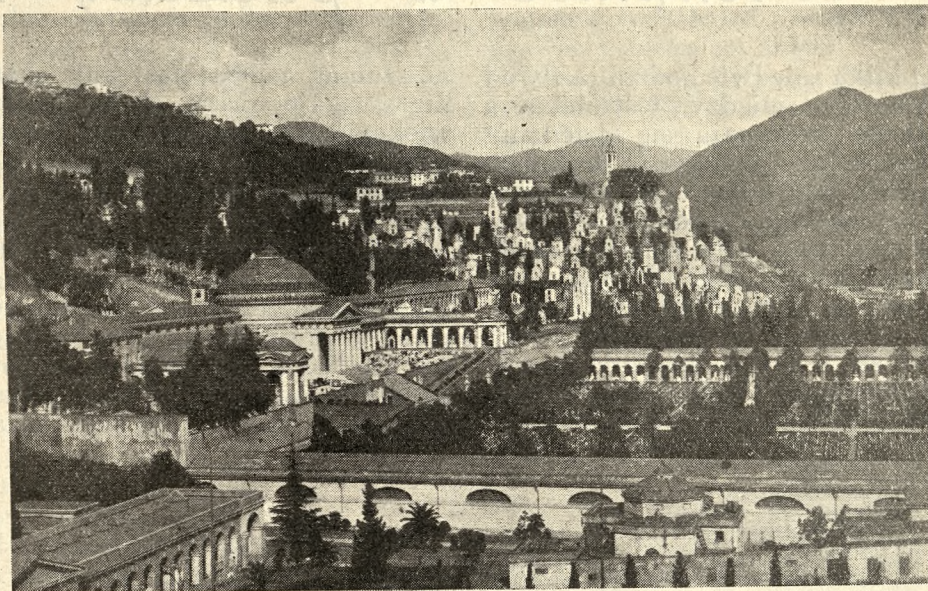
...kiedy po krótkim postoju Ubena dążyła dalej przez cieśninę Gibraltaru...



*...by zwiedzić ten cudowny zakątek.*

przez Anglików, mimo Balearów do Genui. Na wyspie Palma de Majorca, pamiętnej z pobytu Szopena, wysiedli prawie wszyscy pasażerowie, by zwiedzić cudowny ten zakątek. Dużo bogatych Anglików wybrało tę wyspę jako miejsce letnich wyczasów. Ulokowali się na szereg tygodni we wspaniałych, z nowoczesnym komfortem urządzonych hotelach. Wycieczka powozem wzdłuż zatoki, brzegiem morza pozostanie dla mnie osobiście jednym z najpiękniejszych wspomnień podróży. Niebo wiecznie niebieskie, morze aż granatowe, spokojne, zieloność roślin południowych i moc różnorodnego kwiecia, czynią wyspę pod względem przyrody chyba najpiękniejszym miejscem odpoczynkowym południa.

Po 16 dniach dopłynęliśmy do Genui z jedynek na świecie Camposanto, słynącym cudownymi rzezbami dłota najsłynniejszych włos-



*...Z godnym zwiedzenia Camposanto cudownych rzeźb...*



*w otoczeniu wspaniałych okazów flory południa...*

kich mistrzów. Pod samem miastem leży miejsce kąpielowe „Nervi“ w otoczeniu wspaniałych okazów flory południa. Jest to ostatni port europejski; żegnam się ze swoimi, wysyłając listy i depesze do Polski.

Pięć dni trwała dalsza żegluga po bajecznie spokojnym morzu Śródziemnem. Wieczorem piątego dnia powitał nas Port Said morzem świetlnych reklam. Wesolo, gwarno zrobiło się na pokładzie. Z motorówek wsiadła do nas celna służba egipska, urzędnicy policji. Okręt mimo spóźnionej godziny otoczyli handlarze egzotyczni. Krzyki z motorówek zapełniły powietrze. Nie pamiętam wieczora tak ożywionego, jak właśnie postój nocny w tem mieście. Owoce wspaniałe, winogrona, pomarańcze, ananasy, słodycze tureckie, tytoń, papierosy egipskie, przepiękna porcelana chińska

i japońska, cieniutka, jak płatki róż, jedwabie, kimona, cały pokład zamienił się w mgnieniu oka na dom towarowy. Przejść trudno po chodnikach, bo handlarze towar swój rozłożyli na ziemi i sami przysiedli w kuckach na matach, gwałtownymi gestami zapraszając do kupna tych cudów. Naprawdę trzeba dużo silnej woli, by nie zagarnąć lekko-myślnie całej wystawy.

Dużo angielskich szylingów zostawili pasażerowie „Ubeny“ na tym pierwszym postoju czarnego ładu.

Port Said, jak zresztą w wszystkie afrykańskie porty, jest mieszaniną starej arabskiej kultury z europejską napływową cywilizacją.

(D. c. n.)

Olga Tchórznička.



Kościół w Ostrołęce.



Procesja rezurekcyjna wchodzi do kościoła w Kadzidle.

## Wielkanoc w puszczy Kurpiowskiej

O kilka zaledwie godzin jazdy od Warszawy, między Ostrołką a Kolnem, zaczynają się dziedziny kurpiowskie. Wiemy o Kurpiach niewiele. Ot, kołaczę się w pamięci, przechowany z lat dziecięcych, wierszyk: „A czy znacie, panie bracie, Kurpi ród? Niskie chaty, lecz za katy — czerstwy lud“. Ale od czasów poczciwego poety wiele się w Polsce zmieniło, nawet na Kurpiach. Przedewszystkiem z puszczy Kurpiowskiej pozostała je-

no szumna nazwa; następnie chaty nie są takie niskie, chyba bardzo wiekowe, a i ciężna ludu, trapionego chorobami nagminnymi, głównie gruźlicą, pozostawia też wiele do życzenia.

Aczkolwiek srodze przetrzebiona przez Niemców, a i w odrodzonej Polsce nie oszczędzana zbyt, puszcza na przybyszu sprawia wrażenie wielkich jeszcze kompleksów leśnych. Są to jednakże pozory. Starożytnego boru, masztowych sosen osta-

ło tam niewiele. Między lasami, na płaskich, często podmokłych piaskach rozłożyły się ubogie pola, gdzie króluje żytko i ziemniaki, wyciągnęły się wzdłuż długiej, prostej ulicy schludne, pozbawione na ogół sadów wsie kurpiowskie.

To najogólniejszy zarys widzianych już przeze mnie i dobrze znanych okolic puszczy. Czując dużo sentymentu i do tych, tak bliskich polskiemu sercu, sosen i do tych zgnębionych walką z niedostatkiem ludzi, postanowiłem wybrać się tam, zobaczyć, czy i jakie zmiany poczynił czas w ciągu minionych lat dziesięciu.

Pojechałem zatem. Ruch na kolejach wcale nie przedświąteczny, a od Ostrołki zgoła kryzysowy. Chcąc się dostać do serca puszczy Kurpiowskiej, trzeba jechać kolejką wąskotorową na linii Grabowo—Kadzidło — Myszyniec. Długo czekałem za mostem na Narwi. Silna wichura marszczyła zawsze ciemne wody tej rzeki, zasypywała piaskiem oczy, przenikała do kości. Wreszcie z sapaniem i jazgotem żelastwa nadjechał „samowarek“. Stan obsługi do pasażerów równał się jak trzy do trzech. „Et, — myślę sobie, optymista niepoprawny — nazbiera po drodze“.

Aliści po drodze do Kadzidła dwóch pasażerów wysiadło i obsługa w ekspresie transpuszczańskim zyskała przytłaczającą większość. Pociąg dwa razy stawał. Raz dla nabrania wody, drugi raz z powodu opieszalej krowy na torze. Strasznie się na nią gniewali konduktorzy i pan maszynista, ale krowa, jak to krowa — wiadomo, głupie bydlę.



Krajobraz z nad Narwi; sosna karłowata na wydmiu piaszczystej.



Typowy świątek kurpiowski.



Dziewczęta kurpiowskie z okolic Kadzidla w odświętnych strojach.

Do Myszyńca przyjechałem w Wielką Sobotę. Właściwie trzeba było walić wprost do Kolna, tej jakby stolicy kurpiowskiej, ale nie starczyło mi odwagi. Zresztą, kto wie, gdyby było jakie miłe towarzysztwo... Tymczasem ani na lekarstwo.

Po drodze mijaliśmy liczne gromadki mężczyzn i kobiet, zdążających do kościoła. Kobiety w sztywnych, samodziałowych, mieniących się spódnicach o barwie zielonkawej lub wpadającej w fioletowy. Nieliczne tylko miały na sobie czerwono-żółte zapaski lub zielono-czerwono-żółte frendzlaste kilimy („płachty“). Wiele z nich maszerowało boso. Trzewiki, archaiczne, zapinane na guziki, wkładały dopiero przed wejściem do osady. Mężczyźni — jak jeden — w butach z cholewami, maciejówkach i sięgających niemal do kolan brunatnych kapotach. Gdyby szli w ordynku, łącznie ich wziąłbyś za jakąś lanową piechotę...

Nad Myszyńcem dominuje wielki, „na wyrost“ chyba, kościół. Tam to ścisnęły się i tonęły te niezliczone strumyki ludzkie. Jakiś przygodny cicerone pokazał mi przy szerokich schodach umocowane w dzwonnicy metalowe, ciężkie kółko.

— W dawnych czasach do koła tego przywiązywano wiarołomne żony. Był to rodzaj przęgierza.

Przez chwilę w oczach stanęła mi wizja tej ciżby (dziś powiedziano by „ogonka“) niewiast, tłoczących się przy fatalnym kółku. „Jak to dobrze, że zwyczaj ten jest przeżytkiem“ — pomyślałem sobie, gdyż uwagę moją pochłonął mąż groźny a zbrojny, kroczący środkiem rynku. Zrazu sądziłem, że to strażak i był w nim w istocie, gdyż na głowie jego błyszczał hełm, a u boku dyndała się rosyjska, dragońska

szabla. Naiwność moja sugerowała mi, że taką szablą zapewne lepiej rąbie się pałace belki.

Obok strażaka postępował jeszcze ktoś. Rzemienne pasy krzyżowały się na piersiach, nieznanego mi autoramentu szablisko, niczem śleść, zwisało z lewej strony. Czapka świeciła od złota i innych emblematów.

— To komendant miejscowego p. w., trzymającego razem ze strażakami straż przy grobie Chrystusa — objaśnił mnie bezinteresowny przewodnik.

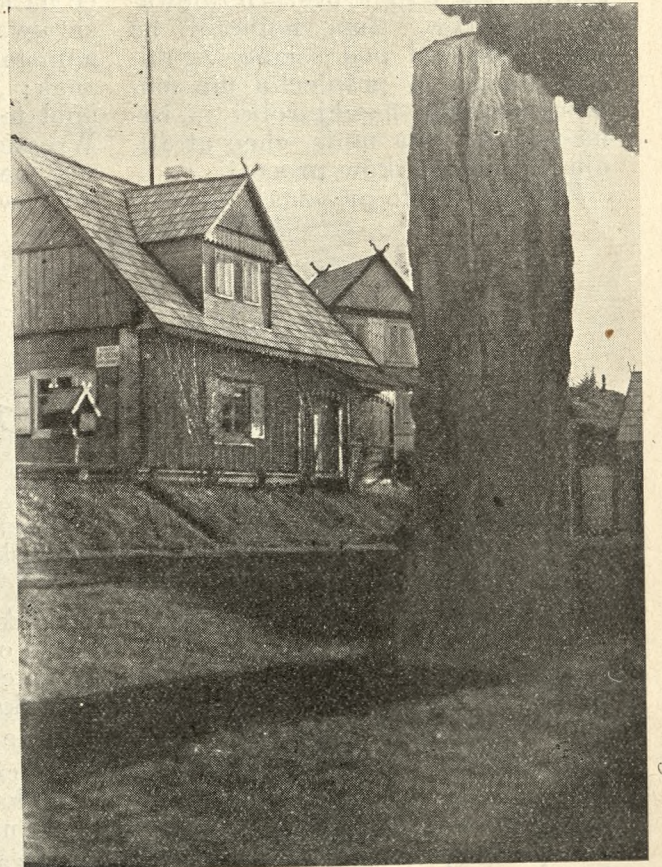
Właściwie nie miałam tu nic do roboty. Święcenie święconego już się skończyło, do rezurekcji było daleko. Wołałem tedy wrócić do Kadzidla, z którym wiązał mnie i sentyment, i dawne znajomości. Proszę nie podejrzewać nie „takiego“: znajomość ta ma siwe włosy i mogłaby być moją babką.

Reszta dnia zesłała dość nudno. Sytuację ratowała książka. Pogoda była dżdżysta. Smutek opanował mnie bez reszty, przypomniały się beznadziejne, frontowe czasy, zwłaszcza, że u mojej gospodyni nie znać było najmniejszych przygotowań świątecznych, wogóle ani cienia tego, co nazywamy nastrojem przedświątecznym. Spać wypadło pod zimną, olbrzymią pierzyną, na wypukłych, twardej poduszkach.

Nazajutrz pierwsze spojrzenie w okno: deszcz siecze po szybach, za którymi przesuwa się syl-

wetki ludzi, śpieszących do kościoła. Na Jowisza! Tyle sobie obiecywałem z tych zdjęć... ospale i gnusnie przyoblekałem szatki.

Uderzyli w dzwony. Deszcz ustał, choć czarne chmury wicher pędził tuż nad wieżycami kościoła. Wreszcie rozjazgotały się dzwonniki i z szeroko rozwartych drzwi wynurzył się ksiądz z Przenajświętszym Sakramentem, idący pod baldachimem, a za nim chorągwie i feretrony, niesione przez dziew-



500-letnia barć sosnowa przed Muzeum Kurpiowskim w Nowogrodzie nad Narnwią.



...Z sapaniem i jazgotem żelastwa nadjechał „samowarek“...

częta w swych charakterystycznych „czółkach“ (jakby kołpakach z tektury, oklejonej czarnym aksamitem i ozdobionych świecidełkami i sztucznym kwieciami). Następnie posuwała się stłoczona gromada wiernych.

Stałem z boku z aparatem fotograficznym. Krople deszczu zalewały obiektyw, tłum napierał na mnie, odsuwał pod ścianę. Zgubiłem czapkę, w pośpiechu nie mogłem nawinąć nowej rolki — istna tragedia dla mnie, choć atrakcja dla uczestników procesji.

Zdjęcia, jak to przyznają Czytel-

niczki, wyszły słabe, co jest dla mnie podwójnie bolesne.

Po trzykrotnym okrażeniu świątyni wraz z innymi wszedłem do jej wnętrza, a potem po schodach na chór. Był tu już zespół śpiewaczy i dużo luzaków.

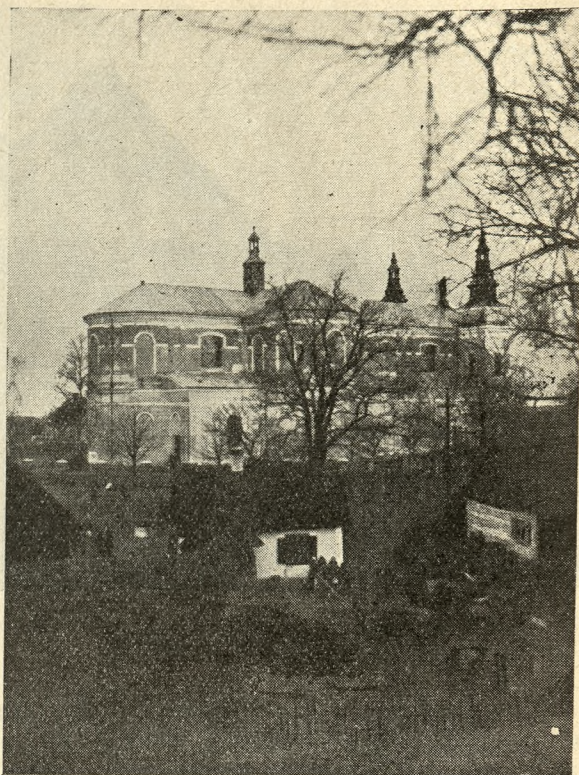
Zaczął się nabożeństwo.

Patrzałem zgóry na to mrowie ludzkie, na głowy, nabite tak gęsto, jak kamienie w bruku. Z prawej strony kraśniały chusty kobiet. Daleko, od ołtarza, rozbrzmiewał głos księdza, ale kościół nie pozostawał niemv: bezustanku — to tu, to tam — wstrząsał tłumem kaszel.

Wkońcu stało się to denerwujące, zwa-

szcza, skoro się wie, jaki odsetek Kurpiów choruje na gruźlicę.

Rozmyślenia te przerwało uporczywe wpatrywanie się we mnie kilku młodych Kurpianek. Tajemnica tego zainteresowania wyjaśniła się rychło — oto na nogach miałem nowe, żółte półbuty. Wkrótce na mojej osobie skoncentrowała się uwaga całego chóru. Prózno organista nieco kozim głosem dawał znak: „Gloria, glo... glo... gloria“ — apel ten pozostawał bez skutku. Wreszcie, zniecierpliwiony, nacisnął pedały i beknął przeraźliwie. Poderwali się spłoszeni śpiewacy i



Kościół w Kadzidle.

na kościół runęła radosna pieśń Zmartwychwstania. Odpowiedzieli jej w dole wierni, zawtórowały dzwony:

— Chrystus zmartwychwstał!

Wyszedłem na górkę za kościołem, obok cmentarza. Wicher obijał płaszcz o moje nogi, wicher gonął deszczowe chmury, kiedy od kościoła na wszystkie strony rozjeżdżali się i rozchodzili ludzie w szare świtki przyodziani do swych w piaskach i borach zagubionych siedzib.

Jerzy K. Maciejewski.

## Najlepsza opiekunka

Opiekunka w Sekcji Pomocy Matce i Dziecku przy Komitecie Obywatelskim musi posiadać prócz wyższego wykształcenia i praktyki w dziedzinie społecznej dużo serca i cierpliwości, aby sprostać wszystkim swoim obowiązkom. Sekcja Pomocy Matce i Dziecku posiada w Warszawie trzy ośrodki: na Woli, Pradze i Ochocie. Każdy z nich rozpada się na kilka działów: opieka prawna, wychowanie, leczenie i pomoc prawna. Wszystkie te działy pracują wspólnie, tworząc jedną całość i nie ustają w swoich zabiegach o wyrzescanie z duszy

ludzi, znajdujących się na dnie nędzy, iskierki szlachetniejszych uczuć.

Opiekunka sekcyjna jest prawdziwą opiekunką tych wszystkich nieszczęśliwych bezrobotnych, którzy pukają do ośrodków na Pradze, Ochocie i Woli.

— Trzeba sprawdzić, w jakich warunkach żyje rodzina X. — mówi kierowniczka Sekcji.

Ale zadanie opiekunki nie ogranicza się na suchym wywiadzie u sąsiadów, dozorczy, w sklepiku i u gospodarza domu, w którym miesz-

ka dana rodzina. Opiekunka wchodzi bez wahania do dusznych, brudnych mieszkań, nie brzydzi się zawszonych główek dzieci i brudnych łachmanów.

Pierwsze zetknięcie opiekunki z rodziną, zasługująca na poparcie, obfituje często w nieprzyjemne zgrzyty.

— Pani tutaj czego szuka? — pyta groźnie wysoki, silny mężczyzna, wchodząc do izdebki, w której jego żona, leżąca na barłogu, zwierza się opiekunce.

Wzruszeniem ramion zbywa jej



wszystkie wywody. Od tego jest mężem, żeby miał prawo uderzyć żonę. A że żona spodziewa się dziecka, to co? Czyje to dziecko? Jego, czy opiekunki?

— Żona pana może przypłacić życiem podobne traktowanie — mówi surowo opiekunka.

Ale surowy mężczyzna patrzy na nią z nienawiścią. Opiekunka jest drobna, szczupła i mógłby ją jednym ruchem ręki zmusić do milczenia.

— Czy panu nie wstyd stać w czapce w pokoju, w którym znajdują się kobiety i wisi święty obraz? — ciągnie nieustraszenie opiekunka.

Serce jej mocno bije. Zdaje sobie sprawę z fizycznej przewagi mężczyzny, ale nie okazuje trwogi, jaka ją ogarnia. Jej jedyną bronią jest cierpliwość i zrozumienie duszy każdego człowieka. Z barłogu dochodzi stłumione łkanie. Brzemienna kobieta ze strachem zakrywa sobie oczy. Oczekuje lada chwila, że jej mąż rzuci się na dobrą panią.

Ale opiekunka patrzy prosto w oczy zagniewanemu mężczyźnie. A potem zaczyna mówić.

Pod wpływem jej łagodnych słów mężczyzna zdejmuje czapkę z głowy, opada na stojący w pobliżu stół i zakrywa rękami twarz.

— Takie nasze pieskie życie — rzuca przez zaciśnięte zęby.

I wolno, powoli niechęć i wrogość zmienia się w szczerą, serdeczny stosunek.

— Pani opiekunka jest naszą najlepszą przyjaciółką — twierdzi z przekonaniem wysoki, silny mężczyzna, o ponurem spojrzeniu, w kilka tygodni później.

A opiekunka jest szczęśliwa, że wniosła trochę słońca do małej, dusznej izdebki. Myje dzieci, kieruje ich matkę do lekarza, a ojca do Sekcji prawnej, gdzie łagodzą jego zatarg o mieszkanie z gospodarzem domu.

Opiekunka musi posiadać nie tylko dużo serca, ale musi być dobrą dyplomatką. Jak wytłumaczyć gospodarzowi domu, który słusznie domaga się uiszczenia komornego, że jego lokator naprawdę nie jest w stanie zapłacić? Jak przekonać go, że w swoim własnym interesie lepiej dać bezrobotnemu trochę pieniędzy na kupno, lub wynajęcie innego mieszkania i uwolnić się od nieplacącego lokatora, niż mieć z nim ciągle zatargi, które do niczego nie doprowadzą? Sekcja prawna ze swojej strony prowadzi z gospodarzem długie i wyczerpujące rozmowy. Nie zawsze da się go przekonać. Nie zawsze można poruszyć właściwą strunę, ale o ile uda się obronić bezrobotnego przed kłeska baraków dla bezdomnych, wśród wszystkich pracowników Sekcji panuje odświeżony nastrój!

Opiekunka zjawia się również wśród ludzi, którzy stoczyli się na dno moralnego upodlenia. Matka uprawia prostytutkę. Nieletnie córki wstąpiły w jej ślady. Jedna z nich jest zarażona wenerycznie. Bezrobotny ojciec upija się i czerpie nędzne dochody z nierządu swoich najbliższych. Młodsze dzieci śpią razem z dorosłymi, chorzy ze zdrowymi...

Opiekunkę wita pijacka wrzawa, wymysły, kłótnie. Jej obecność jest mało pożądana.

— Jak ma na sobie całą kieckę, to myśli, że już może człowiekiem

Młodość konserwujesz  
KREMEM *Lion*  
wnika on w naskórek i ożywia  
cerę - świetny podkład pod puder  
Tuba 90 groszy  
z 1,25  
J.B. STEPNIEWICZ-POZNAŃ



gardzić! — dochodzi ją czyjś zachrypły głos.

Ale opiekunka nikim nie gardzi. Stara się tylko znaleźć kładkę, na której nastąpi zbliżenie między nią, a upadłą rodziną. Nie zwraca uwagi na obelgi, drwiny i wymysły. Nie zniecheca się nieufnością i brakiem zaufania. Jej jedyną bronią jest cierpliwość i łagodność. Opiekunka wierzy, że na platformie cierpliwości zakiełkuje wreszcie zaufanie, a tem samym moralne odrodzenie.

I rzadko się myli.

— Dzieci nie chodzą do szkoły, bo nie mają co na siebie włożyć — oświadcza po pewnym czasie nieco udobruchana matka.

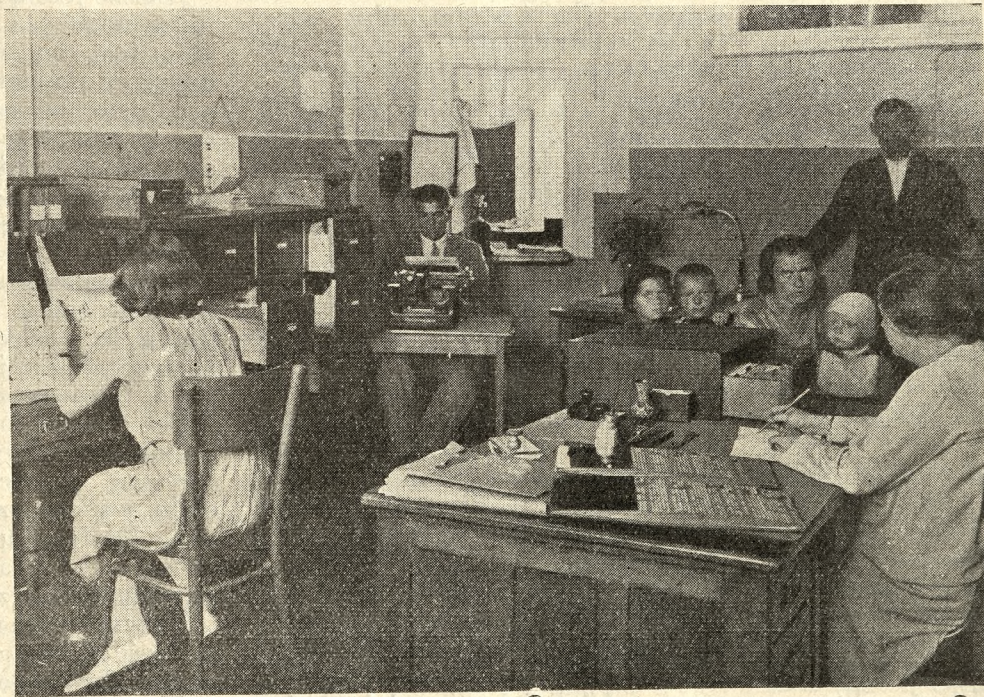
Więc Sekcja daje niezbędną odzież.

W kilka tygodni później nieletnie córki umieszcza się w zamkniętych zakładach wychowawczych. Matka zaczyna starać się o posługi. Ojciec przypomina sobie, że za dawnych lat grywał na harmonji na weselach...

— Niema tak nisko upadłego człowieka, który nie jest w stanie się podźwignąć. Najtroskliwszą opieką należy otaczać tych ludzi, którym najtrudniej jest się wydstać z dna nędzy — twierdzi opiekunka.

I ani na chwilę nie ustaje w swojej pracy.

St. Osńska.



W Osrodku Pomocy matce i dziecku.

# Technik pionierem higieny

Jeśli sobie uzmyslowimy, w jak trudnych warunkach zdrowotnych żyli nasi praojcowie i jak bardzo kosztowną rzeczą było wówczas jako tako higieniczne życie, wtedy dopiero zrozumiemy znaczenie postępu medycyny i techniki dla zdrowotności społecznej. Wszak nie upłynęło jeszcze sto lat od czasu, kiedy zaczęto systematycznie kanalizować miasta, a i dziś jeszcze jakże wiele miast u nas nie jest skanalizowanych.

Dopiero ogólny postęp techniki umożliwił ludziom życie naprawdę higieniczne.

Wszelako w miarę coraz znakomitszych wyników walki z brudem i niechlujstwem nowe wytwarzają się problemy, czekające na swe rozwiązanie. Dawno już zwracano uwagę na ujemny wpływ, jaki tuż nad kurzu, unoszące się nad ulicami miast, wywierają na nasze organy oddechowe. Walką z kurzem oddawna zajmowały się magistraty miast z mniejszym lub większym sukcesem. Od kilku lat pracują inżynierowie specjalnie nad tem zagadnieniem i, wychodząc z założenia, że należy najpierw wroga poznać, by móc skutecznie z nim walczyć, podjęli przede wszystkim skrupulatne badania nad ilością i jakością pyłu w powietrzu. Liczby, jakie otrzymano przy takich badaniach, są wprost sensacyjne!

Pył, unoszący się naprzykład do wysokości 60 metrów nad Nowym Jorkiem, waży 2.200 tonn, czyli mniej więcej tyle, ile waży 30.000 ludzi średniego wzrostu!! W czasie huraganów zawartość pyłu w powietrzu jest jeszcze znacznie większa. Potworne masy kurzu unosi wtedy prąd atmosfery i rozrzucane na ogromnych połaciach ziemi. W roku 1901 uniosły naprzykład wiatry wirowe z pustyni Sahary olbrzymie masy pyłu i przeniosły je częściowo aż na odległość 4.000 kilometrów. Cztery dni trwał wówczas ów suchy deszcz, 1.800 tonn pyłu spadło na kraje europejskie, a znacznie większe ilości legły na wybrzeżu Afryki i utonęły w morzu Śródziemnym. Uczeni ocenili te masy pyłu na 150 milionów tonn!!

Polskę nawiedziła w kwietniu roku 1928 straszna wichura. Czytelnicy pamiętają jeszcze zapewne zniszczenie spowodowane tym niebywałym, jak na nasze stosunki klimatyczne, kataklizmem. Warszawa wskutek zerwania drutów telegraficznych odcięta była na kilka dni od wielu miast polskich. Wraz z owym huraganem przesunęła się

wówczas i opadła na nasze ziemie chmura pyłu wagi około 1½ miliona tonn. Pył ten przybył do nas z południowych okolic Rosji.

Ciekawy jest skład chemiczny pyłu, zależny oczywiście od okolicy, z której pochodzi. W Nowym Jorku 65 proc. pyłu składa się z cząsteczek węgla, 15 proc. stanowią minerały i popiół, zaś 2 proc. cząsteczki pochodzenia organicznego, oraz zarazki rozmaitego rodzaju. Ten konglomerat nieczystości dostaje się do płuc mieszkańców, zatyka delikatne przewody oddechowe i wprowadza chorobotwórcze zarazki do organizmów!

Inżynierowie rozpoczęli już walkę z kurzem przede wszystkim z punktu widzenia użyteczności. Zwrócono mianowicie uwagę na olbrzymie masy węgla i sadzy, unoszące się w pyle miast, zwłaszcza tych miast, które wielki przemysł obrał sobie za siedlisko. W Pittsburgu np. rok rocznie 400 tonn sadzy spada na każdy kilometr kwadratowy powierzchni, w Glasgow 330 tonn, a w Londynie 100 tonn!

Te ogromne ilości sadzy wykazują wadliwość wykorzystywania energii cieplnej węgla; prościej nie spalamy wszystkiego i wiele materiału palnego idzie na marne. Już dziś wszelako zdołano w całym szeregu fabryk ulepszyć procedurę spalania węgla i zyskano w ten sposób podwójnie: po pierwsze na materiale opałowym, a po drugie, oczywiście, na ludzkim zdrowiu, korzyść wcale niemiejsza, dająca się również wykalkulować w kilowatach, jako zysk powiększonej wydajności przy pracy. Człowiek jest również pewnego rodzaju maszyną, a jeśli dbamy o to, aby nasz samochód był porządnie naoliwiony, by był czysty a niezakurzony, warto myśleć i o tem, aby nasza ludzka maszynierja pracować mogła w warunkach odpowiednich.

Ostatnio przez prasę szczegółowo omawiany wynalazek Pana Prezydenta, prof. dr. Mościckiego, stanowi już jakby drugi etap walki inżyniera z nieodpowiednimi warunkami atmosferycznymi. Jest rzeczą jasną, że gruntowna dezynfekcja i oczyszczanie powietrza na większych obszarach, po pierwsze nie daje się przeprowadzić, a po drugie nawet nie byłaby wskazana. Człowiek powinien zachować pewną odporność przeciwko grożącemu mu niebezpieczeństwem pyłu i bakterji. Całkowite oswojenie go od tych najmniejszych i równocześnie bardzo groźnych wrogów zmniejszyłoby jego odporność, co w rezultacie uczyniłoby z niego niewolnika, przykutego do miejsc starannie „z higienizowanych”. Bardzo wszelako wskazane jest tworzenie pewnego ro-

dzaju „wysp zdrowotności”, na których obszarze stargane ustawiczną walką płuca mogłyby swobodnie oddychać.

Aparatura Pana Prezydenta temu celowi właśnie służy.

Zanim Pan Prezydent zabrał się do konstrukcji swego przyrządu, poddał dokładnej analizie stosunki atmosferyczne, panujące w górach, gdzie, jak wiadomo, powietrze odznacza się wyjątkową zdrowotnością. Brak pyłu, a w każdym bądź razie minimalna zawartość składników kurzu, stanowi pierwszą podstawową cechę powietrza górskiego. Aparatura profesora Mościckiego działa więc przede wszystkim, jak pewnego rodzaju odkurzacz i utrzymuje stale powietrze w danym lokalu w idealnej czystości, pozabawiając je wszelkich składników stałych.

Drugą ważną cechą powietrza górskiego jest zawartość wielkich ilości rozproszonego światła ultrafioletowego. Promienie słoneczne bogate są w składniki ultrafioletowe, bardzo dodatnio działające na organizm ludzki i zwierzęcy. Jak wiadomo, pomiędzy powstawaniem niektórych witamin a ultrafioletowym promieniowaniem istnieje ścisły związek, a pozatem promieniowanie to wywiera decydujący wpływ na stan elektryczny atmosfery górskiej. Niestety, gęsta atmosfera na poziomie powierzchni morza dopuszcza tylko znikomą ilość tego promieniowania do naszego organizmu. Aparatura profesora Mościckiego działa, jak bardzo łagodna lampa kwarcowa i upadabnia całkowicie stan elektryczny powietrza lokalu do stosunków atmosferycznych, panujących w górach.

Jeszcze jedną właściwością zasadniczą odznacza się powietrze górskie: jest znacznie bardziej rozrzedzone od powietrza w dolinach. Na organizm nasz cecha ta działa w ten sposób, że ilość ciałek krwi, obliczona na centymetr sześcienny, wzrasta znacznie ze wzrostem wysokości wzniesienia. W wielu wypadkach również ta właściwość powietrza górskiego ma wybitne znaczenie lecznicze. Wszelako przy realizacji tej cechy górskiego klimatu następują już większe trudności, a pozatem nagłe przejście z gęstej atmosfery ulicy do rozrzedzonego powietrza wywołałoby efekt wysoce szkodliwy dla zdrowia. Dlatego aparatura Pana Prezydenta tej właściwości górskiego klimatu nie uwzględnia.

Niewątpliwie urządzenie profesora Mościckiego stanowi bardzo doniosłą, nową zdobycz techniki w jej walce o zdrowie ludzkości.

Dr Feliks Burdecki.

# Znajomość języków obcych najskuteczniejszą bronią kobiety w walce z kryzysem i bezrobociem

(Wielka akcja „Bluszczu“ dla swoich czytelniczek)

Kto nie walczy, ten niczego nie zdobędzie. Kto nie wychodzi niebezpieczeństwu naprzeciw, tego o no samo znajdzie w jego własnym domu.

Nie wolno dziś na arenie świata zjawiać się nieumiejętnym i nieuzbrojonym. Odpadną już na starcie i nigdy, nigdy nie zdołają zrównać się ze współzawodnikami w wielkim wyścigu pracy i powodzenia.

Ileż to razy z ust niewątpliwie zdolnych, sumiennych, pracowitych kobiet pada skarga:

— Staralam się o posadę, ale wszędzie żądają obcych języków, a ja nie posiadam żadnego.

Nie można się dziwić tym, którzy żądają od swych pracowników znajomości obcego języka. *Człowiek, władający dwoma językami, jest dwa razy człowiekiem, jest wart tyle, co dwu ludzi.* Odwrotnie u nas w Polsce, człowiek, który nie zna chociażby jednego z tych trzech języków: angielskiego, francuskiego lub niemieckiego, jest istotą życiowo, towarzysko i intelektualnie upośledzoną.

To jest smutna prawa, z którą nie trzeba się godzić, ale z którą musimy się liczyć zarówno wobec siebie samych, jak i wobec naszych dzieci.

Ileż to razy zwracają się one do nas z prośbą o pomoc i radę przy nauce języków, a my jesteśmy w kłopotach, bo przepisy gramatyki, zasady wymowy i pisowni, niegdyś nabyte w szkole albo na lekcjach konwersacji, dawno ulotniły się nam z głowy, a brak wprawy dokonał reszty.

Każda z nas niewątpliwie rozumie i odczuwa tę konieczność, ale mało która może sobie pozwolić na kursy, lekcje prywatne lub stałą konwersację z cudzoziemką w domu.

I nieraz odczuwamy żal do naszych rodziców, że wtedy, kiedy umysł nasz był giętki, a pamięć chłonna, zaniedbali tak ważną stronę naszej edukacji.

Nie powtarzajmy błędów naszych rodziców w stosunku do naszych dzieci. Starajmy się dać im wszystko to, czego brak tak dotkliwie odczuwamy sami.

Ale jak? Nowoczesna technika

daje odpowiedź i na tę troskę przez wynalazek Linguaphone'u.

Metoda Linguaphone polega na nauce języka zapomocą płyt gramofonowych.

Kurs Linguaphone składa się:

- 1) z kompletu 16 2-stronnych płyt,
- 2) podręcznika,
- 3) słownika,
- 4) instrukcji dla uczących się—i
- 5) 30 blankietów na wypracowania piśmienne, wszystko w eleganckiej teczce-szkatułce.

Nauka metodą Linguaphone odbywa się w ten sposób, że nakładamy płytę na gramofon i otwieramy

ki, gdyż płyty są „namówione“ przez najznakomitszych profesorów danej narodowości.

Osoba, która posiadała znajomość języka obcego zapomocą Linguaphonu, może bez obawy udać się w podróż zagranicę, gdyż napewno zrozumie wszystko, co do niej będą mówić cudzoziemcy i sama będzie przez nich rozumiana.

Z uwagi na te wszystkie niezaprzeczalne zalety Linguaphonu postanowiliśmy udostępnić naszym czytelniczkom nabycie kompletu płyt dla nauki jednego z trzech najbardziej potrzebnych języków: angielskiego, francuskiego, lub niemieckiego po niższej cenie 155.— zł. za kurs (zamiast 200.— zł. przy wpłacie gotówkowej, a po cenie 165.— zł. (zamiast 220.— zł.) przy spłacie ratami po 33.— zł. miesięcznie.

Wobec tego, że nie wszystkie z naszych Czytelniczek posiadają gramofony, niezbędne do nauki metodą Linguaphone, postaraliśmy się i o to, aby te panie, które sobie tego życzą, mogły nabyć doskonały gramofon po obniżonej cenie 125.— zł. (zamiast 180.— zł.) przy wpłacie gotówkowej, lub po cenie 130.— zł. przy spłacie ratami.

Wraz z kursem Linguaphone wyniesie to 295.— zł. (zamiast 410.— zł.), płatnych w 8-miu ratach miesięcznych (pierwsza rata 36.— zł., następne po 37.— zł.).

Aby uzyskać te wyjątkowo dogodne warunki kupna, należy wypełnić kupon, znajdujący się na 3-iej stronie okładki, wyciąć go i wysłać pod adresem redakcji „Bluszczu“, Solec 87 w Warszawie.

Termin nadsyłania kuponu upływa z dniem 10 kwietnia.

Po tej dacie obowiązują ceny normalne bez zniżek.

Zaznaczamy, że płyty Linguaphone nadają się do każdego gramofonu, i że gramofon Linguaphone mogą nabyć jedynie te osoby, które nabywają jednocześnie komplet płyt do nauki języka.

A zatem nie omijajmy wyjątkowej okazji. *Metoda Linguaphone cały świat stawia nam otworem!*

**Kupon na zamówienie na 3-iej stronie okładki.**



Tak odbywa się nauka zapomocą Linguaphone'u.

podręcznik na jednojęzykowej lekcji. Słuchając tekstu z płyty, poznajemy znaczenie wyrazów z ryciny w podręczniku i jednocześnie uczymy się prawidłowej wymowy. W każdej chwili możemy płytę zatrzymać, aby powtórzyć to, co jest dla nas trudne lub niezrozumiałe. Po pamięciowym opanowaniu lekcji opracowujemy ją piśmiennie, i wysyłamy do Linguaphone Institute w Warszawie, gdzie nam ją poprawią specjalnie w tym celu zaangażowani profesorowie. Skrupulatnie przeprowadzona statystyka dowiodła, że 4 miesiące nauki metodą Linguaphone wystarczą, aby opanować dany język w mowie i piśmie. Godny podkreślenia jest fakt, że już od pierwszej lekcji uczeń zapoznaje się z językiem konwersacyjnym, potocznym i przyswaja go sobie drogą akustyczną bez tego zmanierowania się, jakie jest nieuniknionym wynikiem mimowolnego naśladowania jednego nauczyciela czy nauczyciel-

# Księga zażaleń

## AWIONETKA I MENTALNOŚĆ.

Nie byłam w Polsce kilka lat i po powrocie z trudnością daję tu sobie radę.

Co za szalone zmiany!

Mam odwiedzić moją kuzynkę, która mieszka w Warszawie przy ulicy Dantyszka. Święty Patrycjusz oraz uprzejmy konduktor tramwajowy pomagają mi w odnalezieniu ślicznej uliczki, której kilka lat temu wcale nie było na świecie.

Gorzej jest jednak na innych polach, gdzie poszliśmy naprzód, zaiste, niepokojąco szybkim krokiem.

Np. na polu językowym. Przez te kilka lat mojej tu nieobecności język polski zmienił się tak bardzo, że czasami wprost sprawia mi trudność zrozumienie, o co chodzi ludziom, którzy do mnie mówią. Wczoraj np., pragnąc rozmówić się z kierownikiem pewnego urzędu na zapadłej prowincji, zostałam poinformowana przez jego sekretarza, że wprawdzie pan naczelnik poprzedniego dnia zapowiedział, iż napewno będzie w biurze już o dziewiątej, ale, jak mi się zwierzył pan sekretarz, *on tak zarosze wszystkich dumpinguje*. Dziś zaś opowiadał mi ogrodnik, że w Polsce na każdą wolną posadę zgłasza się pięćdziesięciu *potentatów*. Ciekawe stosunki i ciekawy język.

Nie brałam wprawdzie jeszcze do ręki żadnego drukowanego egzemplarza nowego polskiego słownika, i opieram się tylko na żywym, powszechnie tu teraz używanym słowniku, ale spostrzegam pełno zmian. Zmian ciekawych, ale niejednokrotnie i niepokojących.

Dawniej np. znaliśmy wyraz *dobrobyt*. Teraz nie spotykam go tu wcale. Być może, iż nastąpiło to wskutek jakiejś karygodnej pomyłki zecera, pracującego przy składaniu nowego słownika. Bo jakżeż inaczej wytłumaczyć sobie, że w lukę powstałą po wyrzuceniu wyrazu *dobrobyt* weszła *śruba podatkowa*? Zupełnie nie przypominam sobie, aby pojęcia te kiedykolwiek były jednoznaczne.

Więc musi to być chyba tylko pomyłka, którą ktoś, gdzieś, kiedyś naprawi. W przeciwnym razie ponieśliśmy zgola niepowetowaną stratę. Dobrobyt. Taki jędrny, zdrowy wyraz.

Naogół jednak język polski zadziwiająco się przez tych ostatnich kilka lat wzbogacił: *dźdża*, *wyczyn*, *oddać strzał*, *mentalność* i *stymulować*, *sugerować* i *prokrastynacja* itp. itp.

*Dźdża*. Świetny wyraz! Co za barwa i ton! I o wiele bardziej lo-

giczny od często używanego dawniej „kapuśniaczku“, który to wyraz przypomina nam raczej wszystko inne, tylko nie zjawisko atmosferyczne, pośrednie między deszczem i mgłą.

Gorzej już jest z *oddaniem strzału*. Czy mi go kto *dał*, że mam go *oddawać*? Chyba, że stosowalibyśmy to w zdaniach takich, jak *oddał strzał konceptem*, czyli konceptem za koncept zapłacił. Będzie to zupełnie logiczne, jeśli nie chodzi o zwykłe strzelenie konceptem. Ale w innych wypadkach? Obecnie zasadą jest, że nie oddaje się nawet tego, co się dostało.

Choć są wypadki wyjątkowe.

Jakże chętnie np. oddałoby się, czy odesłało tam, skąd przyszły, te wszystkie kwiatuszki językowe w rodzaju mentalności, stymulacji itp.

Nigdy nie zajmowałam się poważniej badaniami nad rozwojem jakiegось języka. Wystarczało mi stwierdzenie, że każdy wysiłek ludzkiej myśli, stwarzając coś nowego, przybierał dla tej zdobyczy odpowiednią nazwę. Język ludzi żywych bogaci się wraz z nimi.

Mamy np. teraz *awionetkę*. Śliczny sprzęt i śliczny wyraz podarowany nam przez tych, co je stworzyli. Bardzo to miły podarek i nie przypuszczam, by znalazł się ktokolwiek, co zechciałby upierać się przy zdaniu, że *samolotka* byłaby wyrazem właściwszym od *awionetki*.

Napewno nie.

Kilkanaście lat temu nie znaliśmy jeszcze tego wyrazu. Jest zupełnie nowy. Nowy też jest w języku polskim wyraz *mentalność*. Używa go się teraz tak często i chętnie, iż mogłoby się zdawać, że robi się to dlatego, aby dać świadectwo uczuciu radości z jakiejś nowej, świeżo zdobytej, dotychczas nie posiadanej wartości.

*Polska mentalność!*

Przypuszczam, iż wyraz ten wa-

dliwie opiera się na pierwiastku „męt“ (męty obcych naleciałości). Bo jeśli nie, to nawróćmy już lepiej do mniej „uczenie“ brzmiącej, ale rozumniejszej i głębszej *umysłowości*. Bezsprzecznie nie jest ona w Polsce zjawiskiem nowym. Więca mentalność to stanowczo jakaś pomyłka. Mamy doskonały wyraz własny i zastępujemy go wyrazem obcobrzmiącym?

W jakim celu?

Czy mówiąc np. po francusku, używamy wyrazów pochodzenia obcego wtedy, gdy jest do użycia trafne wyrażenie czysto francuskie? Napewno nie. Bo chodzi nam przecież o to, abyśmy tym językiem obcym mówili *poprawnie*. Więc coś jest nie w porządku z obecnym sposobem mówienia w Polsce po polsku. Jest to, że tak powiem, *niechlujstwo języka*. Takie, jakie spotykamy np. wśród polskich emigrantów we wschodniej części Nowego Jorku, gdzie mówi się: *zostawiłam bojsika w kerydzku na stryście, bo idę se kupić stakensy*.

Albo też jest to zupełnie szczególne zjawisko, w pewnej mierze podobne do tego, z jakim spotykamy się wśród młodzieży akademickiej, kiedy to podczas pierwszych miesięcy swej pseudo-dojrzałości umysłowej tak chętnie używa różnych mądrych wyrazów, utożsamiając posługiwanie się nimi z istotną dojrzałością umysłu. Zresztą, trwa to semestr, czy dwa, poczem młodzież ucząca się wyrasta z tego, co u niej jest tylko przejawem pewnego przejściowego nastroju psychicznego, w którym, współcześnie po polsku mówiąc, chciałoby się *sugerować*, iż jest się mądrzejszym, niż jest się nim istotnie.

Ale ludzie dojrzały?

Naprawdę, rozmawiając teraz z ludźmi w Polsce, albo czytając jakąś mało wartościową współczesną polską książkę, przypominam sobie murzynów amerykańskich, którzy tak lubują się w obcobrzmiących, najczęściej nawet niezrozumiałych dla nich wyrazach. Zupełnie, jak ten *sekretarz biuramy, którego dumpinguje*.

Zważywszy zaś, jak bardzo te wszystkie obce naleciałości są zaraźliwe, jeśli kupując dziś w sklepie pończochy, powiem, że te w cenie dwudziestu złotych, są na dzisiejsze czasy zbyt *ekspensymne*, obecny przy tem chłopiec biurowy powie jutro swemu koledze, że on ubiera się u bardzo *ekstenzyrznego* krawca. — trudno sobie wyobrazić, jak będzie brzmiał nasz język za lat dwadzieścia.

Jadwiga Kalicka.



# Ptaki Magdaleny Gross

Z pojęciem ptaka łączy się atrybut lotności, lekkości, ruchu. Z pojęciem rzeźby — monumentalność, ciężar, statyka.

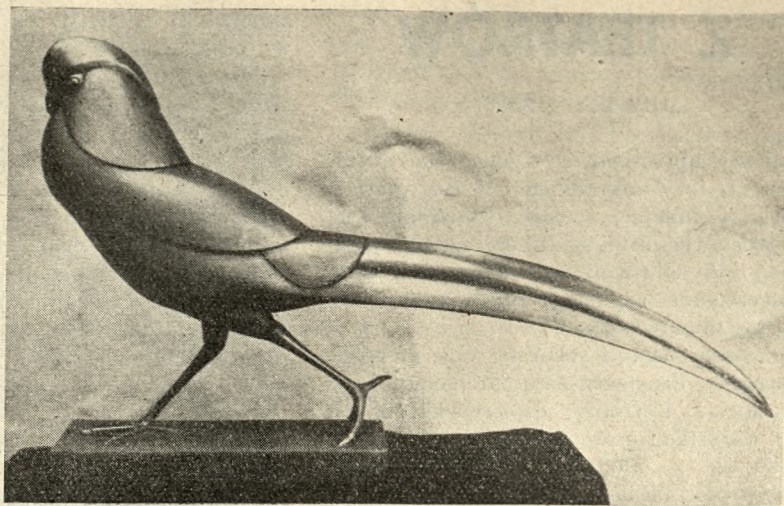
Umieć te dwa kontrasty skoczyć, zespolić, doprowadzić do harmonijnej symbiozy, oto zagadnienie artystyczne, które udało się szczęśliwie rozwiązać Magdalenie Gross.

Jej ptaki, jakkolwiek odlane w brzoźnie, nie straciły nic na właściwej ich gatunkowi lekkości.

Wszystko jedno, czy idą, stoją, czy biegną, są naprawdę ptakami, nie bryłami metalu. Z ich charakterystycznych cech artystka wysnuła odpowiednią dla każdego typu stylizację.

Jej „złoty bażant“, elegancki, smukły, zalotny, o wytwornej sylwetce giętkiego dworaka jakże odmienny jest od czapli, poważnie dumającej, zasępionej, odętej.

Flaming, pretensjonalnie wygięty, jak znak zapytania, to rodzony brat wschodnich arabesków. wydaje się splotem miśternie powiązanych linii. podczas gdy „gęś japońska“ o obwisłym kałdunie, rozepchanym przez potworną wątrobę, jest ociężałą, niezgrabną pta-



Magdalena Gross: „Bażant złoty“.



Magdalena Gross:  
„Zóraw koronowany“.

się bryłą, nieodrodną córką paśnika i podwórka.

A jej „zóraw koronowany“, wdzięcznie wyginający długą szyję i schylający głowę pod ciężarem czapki-korony, ma jakąś arystokratyczną linię i łagodny rytm sylwety dążącej naprzód w czujnym poszukiwaniu.

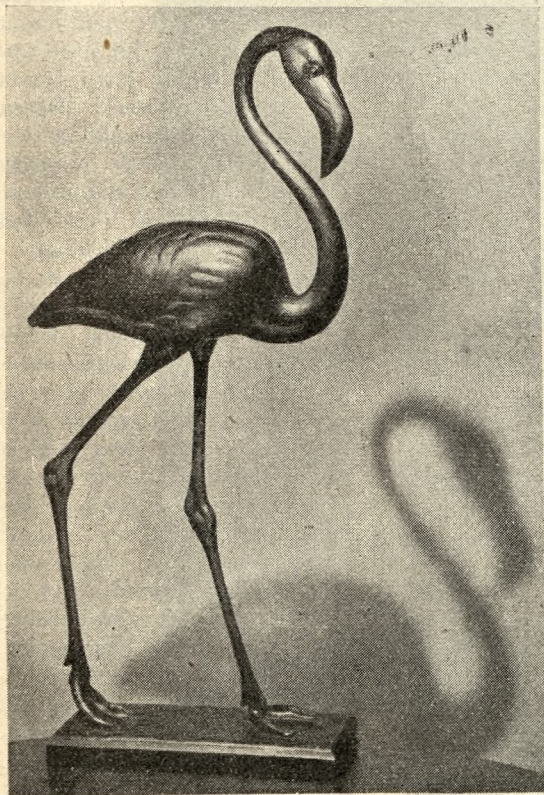
W tych syntetycznych, ale nie sumarycznych wizerunkach ptaków artystka wykazała z jednej strony wiele fantazji w ich ujęciu, że się tak wyrażę „psychologicznym“, z drugiej — dojrzałość techniczną, ujawniającą się w opanowaniu materiału i lekkiej, swobodnej fakturze.

Ominęła szczęśliwie pokusę operowania zbyt jednolitymi pła-

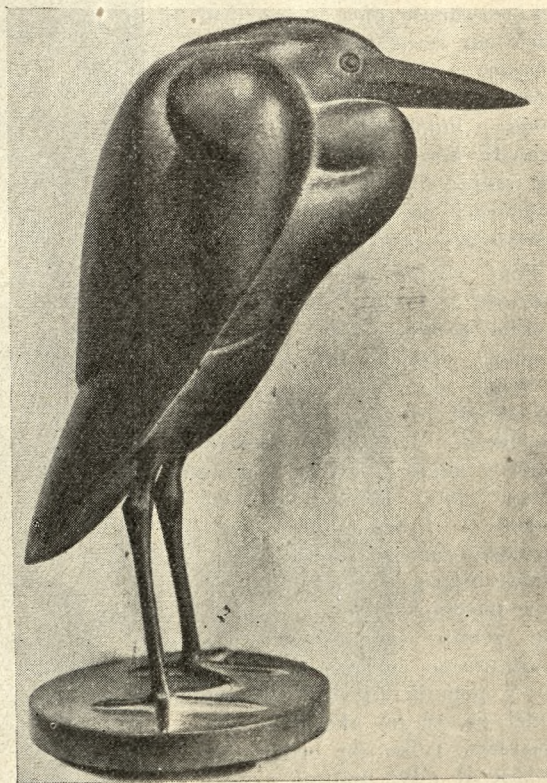
szczyznami, wybrała jedynie właściwą tutaj drogę pośrednią między ścisłym realizmem, a dekoracyjnością.

I dlatego jej ptaki mogą doskonale pasować do nowoczesnego wnętrza, ale najlepiej czułyby się w jakimś ogrodzie zimowym, oranżerii lub dziedzińcu w gęstwinie papyrusów, w sąsiedztwie basenu z lotosami, w otoczeniu trochę egzotycznej roślinności.

S. P. O.



Magdalena Gross: „Flaming“.



Magdalena Gross: „Czapla“.

# Z TEATRÓW

„UPIORY“ IBSENA.

Kiedy byłam młodą dziewczyną, czytałam „Upiory“ ukradkiem, nie wszystko z nich rozumiejąc, a dziś spotkałam na przedstawieniu tej sztuki cały zastęp skautów. Jaki olbrzymi krok naprzód w ustosunkowaniu się społeczeństwa do t. zw. spraw drażliwych!

Posepne skutki chorób wenerycznych, tragedia dziedziczności, problemat społeczny i rodzinny dzieci nieślubnych, to wszystko, o czym dawniej nie mówiło się z młodzieżą, albo mówiło się fałszywie, dzisiaj stawia się przed nią w całej prawdzie i grozie realnych niebezpieczeństw.

Pół wieku minęło od czasu powstania „Upiorów“. To, co wówczas było rewolucją i rewelacją, dziś jest tylko przypomnieniem, to, co było diagnozą społeczną i psychologiczną, dziś jest tylko demonstracją faktów stwierdzonych i niezaprzeczalnych. Czyż jednak przez to tragedia rodziny Alwingów straciła na grozie. Bynajmniej! I to nietylko dzięki konfliktom ściśle „eugenicznym“.

Gdybyśmy sobie nawet wyobrażali, że medycyna wynalazła środek, zapobiegający strasznym skutkom dziedziczności, gdyby i sprawa zdrady małżeńskiej i tragedia dzieci nieślubnych została rozstrzygnięta po linii słusznych praw jednostki i społeczeństwa, — i wówczas jeszcze „Upiory“ Ibsena nie zeszyłyby do roli tych wybijaczy drzwi otwartych, którymi już i dzieci straszyc nie można.

Bowiem obok głównego nurtu tragizmu Oswalda Alwinga, żywcem pogrzebanego przez lekkomyślność ojca, w podłożu ideowym sztuki bije niewysychające źródło zagadnienia, które do końca świata będzie zmorą ludzkości. To upiór prawdy, kórej nawet w najszlachetniejszych, najczystszych zamiarach nie da się ukryć, zamaskować, zatuzować.

Pani Alwing całe swe życie strawiła na to, aby ukryć przed synem grzechy ojca. Dlatego usunęła dziecko tak wcześnie z domu, narażając samą siebie na zarzut braku uczuć macierzyńskich. Dlatego z pogwałceniem miłości własnej przez długie lata hojnami darowiźnami i fundacjami urabiała swojemu mężowi opinię człowieka ofiarnego i szlachetnego. I w momencie, kiedy dochodzi do zenitu samozaparcia się, wystawiając zmarłemu mężowi żywy pomnik, kiedy zarazem łudzi się, że jej ukochany syn wszystko, tylko jej będzie zawdzięczał, gdyż ostatnie pieniądze pozostałe po mężu, wydała na budowę schroniska imienia

szambelana Alwinga, — następuje krwawy odwet prawdy.

Pastor, częściowy winowajca jej nieszczęść rodzinnych, bałwochwalca litery prawa, czciciel pozorów, dowiedziawszy się, kogo ma słać mową pochwalną w dniu otwarcia schroniska, podpala je.

Oswald, wracający po długiej nieobecności do domu, zwierza się matce ze strasznych objawów paraliżu postępowego i jednocześnie zaczyna romansować z pokojówką Reginką, nie wiedząc, że to jego przyrodnia siostra, owoc erotycznego kaprysu szambelana.

Pastorowi grozi sąd i więzienie, Reginka łączy w świat na pewną zgubę z ostrzem krwawego zawodu w sercu, — na miejscu pozostaje tragiczna grupa: Oswald w pierwszym ataku strasznej choroby i nieszczęsna matka, która przyrzekła doń go, gdy jemu samemu nie starczy na to sił.

Plon z tego żniwa ibsenowskiej prawdy zbierze tylko jej ohydny zausznik, stolarz Engstrand, dyskontujący jej krwią pisane czeki, zapomocą obłudy i szantażu.

W tej walce o prawdę Ibsen wyszedł daleko poza ciasne ramy dramatów rodzinnych, — sięgnął do wnętrza człowieka wiecznego. W niezasłużonym nieszczęściu Oswalda jest coś z greckiej Ananke Edypa, — bankructwo życiowe pani Alwing jest klęską nawskroś nowoczesnej Niobe.

Tak pojęta akcja „Upiorów“ jest niewrażliwa na czas i może się dziać w każdej epoce i na każdym miejscu. Inna sprawa, że jej nastrój, jej powietrze psychiczne jest tak nierozzerwalnie związane z epo-

ką Ibsena, że uwspółcześniać ich nie można bezkarnie.

Na tem tle powstał wewnętrzny rozdźwięk między atmosferą ibsenowskiego dramatu, nad którą zawsze ciąży przeszłość jego bohaterów, a reżyserją. Węgierko chciał do nas zbliżyć postacie tragedji i w tym celu przekreślił dystans, dzielący patos od codzienności. Zemściło się to na nim już w zakończeniu pierwszego aktu. Słowa: „Upiory przeszłości!“ zabrzmiały fałszywie, anachronistycznie, pretensjonalnie. Jakby dama w turniurze weszła do kubistycznego studia.

Dzięki temu par force wynaturzaniu ibsenowskiego stylu, polegającego na wysokim ciśnieniu, gra aktorów nie poszła po jednej zdecydowanej linii, ale zygzakami, jak w wykresach nierównej temperatury. Tylko jeden Solski z odpornością godną swego talentu i doświadczenia, jako stolarz Engstrand utrzymał się w ibsenowskiej formie.

Dulębianka nie była sobą. Oscylowała między nowoczesną „hic mulier“ energiczną w ruchach i kańczastą w sposobie bycia, a tragiczną matką, zasłuchaną w wyście upiorów. Przejszcie od jednej do drugiej nie było ani naturalne, ani dostatecznie usprawiedliwione.

Węgierko skameralizował monumentalny patos Oswalda. Budził żal, ale nie przerażał.

Znicz w postaci pastora nie uwypuklił dostatecznie jego wewnętrznej treści. Nie wiedzieliśmy, czy to naiwny przodownik prawdy, czy jej tchórzliwy i obłudny maruder.

Tarnowiczówna, w roli Reginki, tryskała zdrowiem i siłą skandynawskiej niedoszłej Haliki. Stawała w drzwiach, jak zorza. Wierzyło się słowom Oswalda, że z tą dziewczyną wchodzi zdrowie. Jej niski głos brzmiał, jakby z głębi fjordu.

Naprzekór reżyserji dekoracja nie miała charakteru wybitnie współczesnego. Napewno salonik we dworze skandynawskim wygląda, tak samo dziś, jak i lat temu pięćdziesiąt.

Jeszcze drobna prośba do reżyserji. Skoro przez cały czas pierwszego aktu pada deszcz, którego strugi spływają nawet po szybach, a wszyscy przychodzą do domu zmoczeni do nitki, skoro wreszcie o tym deszczu ciągle się mówi, — to dlaczego go wcale nie słyhać. Monotonny szepł ulewy stanowi przecież integralną część nastroju. Jest niejako ustawicznym monologiem niewidzialnej osoby zza kulis, — jeszcze jednym upiorem.

Na przedstawieniu była Solska, najlepsza podobno odtwórczyni pani Alwing. Jak wypadła dla sztuki ta konfrontacja, nie wiem.



Solski i Dulębianka w „Upiorach“ Ibsena.

S. P. O.

# Z ubiegłego tygodnia

## ŚMIERĆ KRÓLOWEJ MATKI

### W HOLANDJI.

Dnia 20 marca zmarła w pałacu swoim w Hadze królowa matka holenderska Emma w wieku lat 75.

Królowa Adelaida - Emma - Wilhelmina - Teresa urodziła się na zamku Arolsen dnia 2 sierpnia 1858 r., jako czwarta córka panującego księcia Waldeck Pymont Jerzego Wiktora i jego pierwszej małżonki księżniczki Heleny Nassau. W styczniu 1879 r. 22-letnia księżniczka Emma poślubiła 62-letniego wdowca, króla holenderskiego Wilhelma III.

Z małżeństwa tego urodziła się w r. 1880 jedyna córka obecna królowa Wilhelmina, która odziedziczyła tron wobec przedwczesnej śmierci swych przyrodnych braci. W 1890 roku królowa Emma objęła regencję w imieniu swe 10-letniej córki.

Podczas jej rządów w 1896 roku przeprowadzono reformę wyborczą, która niemal podwoiła ilizbę uprawnionych do głosu. Od roku 1898, t. j. od przekazania



*Królowa-matka Emma Holenderska.*

władzy 18-stoletniej królowej Wilhelminie, królowa matka Emmy trzymała się zdala od polityki, oddając się przeważnie działalności filantropijnej.

Przejęta głęboką miłością dla ludu i narodu, który stał się jej bliższym od Niemiec — jej własnej ojczyzny — obdarzona wielkim sercem i współczuciem dla nędzy i nieszczęścia bliźnich z całym oddaniem poświęca się dobroczynnym czynkom. Odwiedza i z własnej szkatuły wspomaga chorych i biednych. Zaofiarowana jej przez naród w dowód hołdu i wdzięczności po skończonej regencji sumę 500,000 florenów holenderskich z królewskim gestem oddaje na budowę sanatorium dla gruźliczo chorych.

Słusznie też zyskuje sobie przydomek: „Koningin - Moeder van Barmhartigheid“ (Królowa-Matka Miłosierdzia).

Kochana i wielbiona przez cały naród królowa Emma cieszyła się niebywałą popularnością. Każdorazowe publiczne wystąpienie witała spontaniczna radość tłumów. Jej przyjazne, pogodne oblicze rozjaśnione uśmiechem pełnym słodyczy, srebrzyste włosy, otulone kwefem białych koronek znano każde dziecko.

Była prawdziwą matką swego ludu i narodu, opiekunką jego i pocieszycielką, to też śmierć jej okryła cały kraj głęboką żałobą.



*W dniu Imienin Marszałka Piłsudskiego liczne delegacje ze sztandarami zgromadziły się przed pięknie oświetlonym pałacem Belwederskim.*

*Po tamtej stronie Olzy. — Z akcji systematycznej ku gwałtownym represjom. — W Pradze piękne słowa, w Morawskiej Ostrawie brzydkie czyny. — Opinia polska protestuje. — Stan barbarzyństwa na Litwie — stanem normalnym.*

Po tamtej stronie Olzy, rzeki, dzielącej Śląsk Cieszyński na dwie części, odkad przed piętnastu laty Czesi, wbrew traktatowi wersalskiemu, napadli na polskie dzierżawy — po tamtej stronie Olzy dzieją się dziś sprawy zagadkowe. Zagadkowe w tych sprawach są zarówno cel, jak i przyczyna. Nasz czeski sąsiad bowiem, prowadząc systematycznie politykę wynaradawiającą Polaków, zamieszkałych na czeskim Śląsku Cieszyńskim uniknął dotąd metod represyjnych. Robota, jak to zazwyczaj bywa, gdy jest systematyczna, wślabiła się, wyszczerbiała, umniejszała polski stan posiadania, zaciśkała obręcz wokół polskiej pracy kulturalnej, posługując się uchwałami, ustawami, wreszcie zręcznie zorganizowaną pracą społeczną. Wszystko to działo się po tamtej stronie Olzy i — przyznać trzeba — że nawoływania tamtejszych Polaków spotykały się w kraju ojczystym z dość wyraźną obojętnością. Była to może pewnego rodzaju dżentelnerja sąsiadzka, mrużąca oczy, aby nie widzieć tego, co się dzieje.

Aż oto nagle władze czechosłowackie na Śląsku zmieniły swój system, przyspieszyły tempo, zastosowały gwałt i represje. Patrjotów, działaczy kulturalnych — osadzono w aresztach, podróżnych polskich zaczęto szykanować.

Cały świat głowi się nad tem: dlaczego? Nasi domorośli politycy z obozów wszelakich opozycyj doszukują się przyczyn aż w niemiłym dla Czechów pakcie o nie-agresję między Polską a Niemcami. Ale ci komentatorzy, trafiając kulą w płot, pragną właśnie ustrzelić coś dla siebie. Tymczasem jednak, gdy w Morawskiej Ostrawie idą srogie rozkazy, organizujące prześladowanie Polaków na Śląsku, w Pradze czeskiej rozpinają się słowiańskie kamizelki, aby ukazać, że serce czeskie bije życzliwie dla bratniej, świetnej, wspaniałej Polski. Tak, bo Czesi nie szczędzą słów pochlebnych i pochwalnych przy każdej okazji. Są patetyczni, wylani, pochylają skromnie głowy (gdzie nam do polskiej kultury!), umieją pięknie winszować, pisać długie i wymowne artykuły okolicznościowe. To są formy, to jest — Europa! A jednocześnie robią „swoje“ — prowadzą coraz bardziej zawziętą politykę polakożerczą według wzorów pruskich, austriackich, rosyjskich — jak się da.

Rozpisujemy się o tem w kronice „Zbiegłego tygodnia“, nie tając ani zdumienia, ani sprzeciwu. Sprawa sama należy do naszych władz naczelnych, które niewątpliwie znajdą w oficjalnych enuncjacjach odpowiednie formy protestu, ale coś też znaczy tu stanowisko społeczeństwa polskiego, jako wyraz opinji. Opinia ta, długo nie dając się ugłaskać pe zagrabieniu ziem śląskich, żywiła wiele nieufności do Czechów. W ostatnich latach doskonała propaganda czeska starała się uła-

godzić nasz sceptycyzm, co udawało się tem łatwiej, że wzrastaliśmy z dnia na dzień w samopoczuciu i tem samym skłonniejsi byliśmy do przebaczenia Czechom. Dziś jednak, gdy te sprawy — ongiś wojenne i zaborcze ze strony Czechosłowacji — przybierają formy niestosowne, znowu widzimy, że polityka Czechosłowacji ma swoją linję i swoje ostrza, skierowane przeciw nam. A to, że uprzytomniłszy sobie rzecz całą od początku, nie może przynieść korzyści Czechosłowacji, której przemysł i turystyka czerpały sporo z kieszeni polskich.

Tak się właśnie stało, że jednocześnie i nasz wschodnio-północny sąsiad—Litwa—ożywił swoją akcję prześladowczą i ru-

szyl z represjami przeciw Polakom litewskim. Tyle tylko, że w Kownie nie silą się na dusery. To też supozycje, że fala prześladowań ma na celu — podjęcie rokowań z Polską, spotkała się z wyraźnym postawieniem sprawy przez naszego ministra spraw zagranicznych, p. Becka, który przypomniał słowa Marszałka, wyrzeczone jeszcze w roku 1927-ym pod adresem ówczesnego kierownika rządów litewskich Waldemarasa. Niema więc negocjacyj polsko-litewskich, a, jak mówi min. Beck, „stan barbarzyństwa, istniejący w tych stosunkach, uważany jest na Litwie za stan normalny“. Czyli, że to, co się dzieje na Litwie kowieńskiej, spada całkowicie na rachunek tamtejszego reżimu.

E. N.



#### KORONACJA CESARZA MANDZURJI.

*W stolicy Mandzurji Hsinbing w „Świątyni Nieba“, umyślnie na ten cel rozniesionej, odbyła się uroczysta koronacja Puyisa na cesarza Mandzurji.*



#### ZJAZD „TRZECH“ W RZYMIE.

*Na zdjęciu widzimy Mussolini'ego, który pokazuje „wieczne miasto“ Dolfussowi i Gömbös'owi.*



# Literatura dla wsi czy wieś dla literatury

Na marginesie I-szej konferencji C. Z. M. W. z literatami.

Wieś już nie śpi. Obudziła się. Młode pokolenie wiejskie rusza się. Działa.

Organizacja, skupiająca koło 100 tysięcy młodzieży — to C. Z. M. W. (Centralny Związek Młodzieży Wiejskiej) „Siew”. Celem tej organizacji jest uchwycenie nurtu wsi, przygotowanie rolnicze, obywatelskie i kulturalne kadr przodowników wiejskich, którzy zmieniają oblicze wsi, dotąd często gnuśne i bierne w pracy dla państwa.

Niestrudzona i młoda entuzjastka ruchu wiejskiego, Halina Brzoskówna, miała doskonały pomysł. Nie wiadomo, jakie książki wysyłać do wiejskich bibliotek. Literaci chcieliby pisać tak, żeby ich czytano pod strzechą. A więc cóż łatwiejszego?

Zejdą się te dwa światy: przodownicy wiejscy i literaci — i wprost — twarz w twarz — powiedzą sobie — my chcemy tak a tak, a ci im odpowiedzą — my możemy pisać tak i tak. A potem — kto wie? — za rok, dwa zagadnienie to przestanie istnieć, biblioteki wiejskie pełne będą książek, rozbuchwytywanych przez mieszkańców wsi, a literaci nareszcie przestaną przymierać głodem...

Konferencja miała odpowiedzieć na trzy zadane tematy: „Co wieś czyta?“, „Czego wieś chce od literatury?“ i „Co literaci mają jej dać?“

Na pytanie pierwsze odpowiedzi były prawie że jednobrzmiące z różnych dzielnic Polski. Wieś czyta to, co może czytać. Tam, gdzie są biblioteki szkolne, to księgozbiór tych czytelników, gdzie ich niema, — łapie się nawet senniki egipskie... Książki najukochańsze — to naturalnie Sienkiewicz, Reymont, Rodziewiczówna, Orzeszkowa.

Przodownicy, którzy mają już pewne przygotowanie, zachwycają się „Kordjanem i Chamem“ Kruczkowskiego, interesują ich „Wierzy nad Sekwaną“ Wiktora, „Kumac“ Skuzy. Szukają w literaturze siebie, swoich trosk, kłopotów i radości.

Ale to już właściwie pytanie drugie: czego chcemy w literaturze wiejskiej? Było może za dużo frazesów w odpowiedziach przedstawicieli wsi, zbyt wiele zwrotów retorycznych i krasomówczych, przez które trudno się było przebić jasnej myśli. Ale ta myśl była u wszystkich mówców.

— Chcemy — zgodnie wołali przodownicy — żeby książka nam była podniecią do pracy, żeby po jej przeczytaniu wyprostował się zgarbiony w całodziennym trudzie krzyż, żeby oczy spojrzwały daleko i szeroko. Otwórzcie nam nowe horyzonty, pokażcie nam radość życia, piękno naszego wysiłku, jego celowość i ważność. Niech wasza książka będzie, jak zagubio-



„Lady” Eau de Cologne  
Chat Noir

Zapach tej doskonałej wody kołońskiej łączy się z naturalnym zapachem ciała, przez co nadaje każdej z pań indywidualny charakter.



ny złoty róg z „Wesela“, niech nami zatarga, wstrząśnie, pokaże, jacy jesteśmy potrzebni i konieczni. Dostycie mamy już zgniłych, burżuazyjnych romansów, dajcie nam zdrową książkę, wyrosłą z ziemi. Nie owijajcie przeszłości w konwencjonalną bibułę, pokażcie ją taką, jaką była, nawet z tym chłopem, co mordował powstańców za kilka marnych groszy.

Świadomości prawdy przeszłości historycznej, odkłamania bohaterskich dziejów szlacheckiego zdrowym instynktem chce nie tylko inteligent, ale i wieśniak.

W trzeciej części wypowiadali się literaci. Panowie pisarze nie zrozumieli, myśleli pewno, że chłop koniecznie musi być ubrany w siermięgę i mówić „a dyć chcę tego, to wam nijak powiedzieć nie mogę“. Brak im było koniecznych akcesoriów wsi i dlatego p. Młodożeniec powiedział: „wychodząc na ulicę, w powietrzu wiosennym więcej wyczuwamy wsi, niż w was, którzy mówicie, jak literaci“.

— I jak możemy pisać radośnie. — dziwił się p. Wiktor — wiedząc o nędzy, o brudzie i chorobach, które gnębią wieś. Zwalczcie najpierw nędzę, a potem pomyślcie o czymś dla ducha.

Okazało się, że najlepiej młodzież wiejską i potrzeby wsi rozumiał nestor literatury, prezes Akademii, Wacław Sieroszewski. Genjalna intuicja dobrego pisarza podsunęła mu słowa, które rzuciły most między literaturą a wsią.

„Nawet genialny Tołstoj — powiedział

mistrz Sieroszewski — nie oddał życia chłopu i nie był przez niego czytany, a w literaturze sowieckiej Szołochow — sam chłop — takie dzieło napisał. Ból „kułaków“, kiedy wolą cię zabić, niż oddać do kolchozu, śmiertelne cierpienie matki, która w trybach pracy obowiązkowej nie ma czasu zająć się dzieckiem, konającym w ochronce z tęsknoty za jej jedyną opieką — oto treść tych książek, wyrosłych z prawdziwych przeżyć chłopu rosyjskiego! Gdyby ktoś z was, młodzieży wiejskiej, opisał wasze troski, wasze walki młodego pokolenia ze starem, niezrozumienie potrzeb dzisiejszego życia przez waszych ojców (którym żal kapitału na racjonalną gospodarkę małej ilości gruntu, bo chcą stale powiększać swoją własność), tragizm codziennych nieporozumień rodziców z dziećmi, gdy te dążą do oświaty, choć z niej nawet nie będzie różnego materialnego pożytku... oto tematy literackie. To zmaganie się wsiowie najlepiej możecie oddać wy, którzy to przeżywacie, to wy powinniście w długie zimowe wieczory tworzyć literaturę dla wsi“...

Konferencja się skończyła. Przodownicy wiejscy rozjechali się w różne strony Polski i teraz tam, na dalekiej wsi, oddalonej często o dziesiątki kilometrów od miasta, opowiedzą, jak to w stolicy z literatami radzili i jak pięknie do nich przemawiał Wacław Sieroszewski.

Jadwiga Zieleńczykówna.



## HUMOR U OBCYCH.

— Nie pozwalaj psu tak dużo jeść. Nie będzie chciał zlizywać talerzy. A potem będziesz płakała, że masz za dużo zmywania...

# Kobieta w świecie i w domu



## POD ŁOPATAMI...

Robotnicy, rekrutujący się z bezrobotnych, a chwilowo wynajęci do prac miejskich w San-Antonio (Texas), chcąc uczcić jednego ze swych kolegów, wstępującego w związki małżeńskie, utworzyli nad głową młodej pary wychodzącej z kościoła sklepienie z narzędzi swej pracy — z łopat.

## KOBIETA W URZĘDACH PODATKOWYCH.

Jak donosi „Daily Express“, urząd komornika w Anglii został faktycznie (formalnie był dostępny od chwili równouprawnienia) otwarty dla kobiet. Na mocy konkursu ostatniego 500 kobiet otrzymało prawo wykonywania tego przykrego zawodu.

## KRÓLOWA KRÓLOWYCH PARYŻA.

Jury, złożone z malarzy, rzeźbiarzy i literatów nadało miano „Królowej królowych“ Paryża p. Broussault, którą widzimy na fotografii w towarzystwie dwóch „pomniejszych“ królowych.



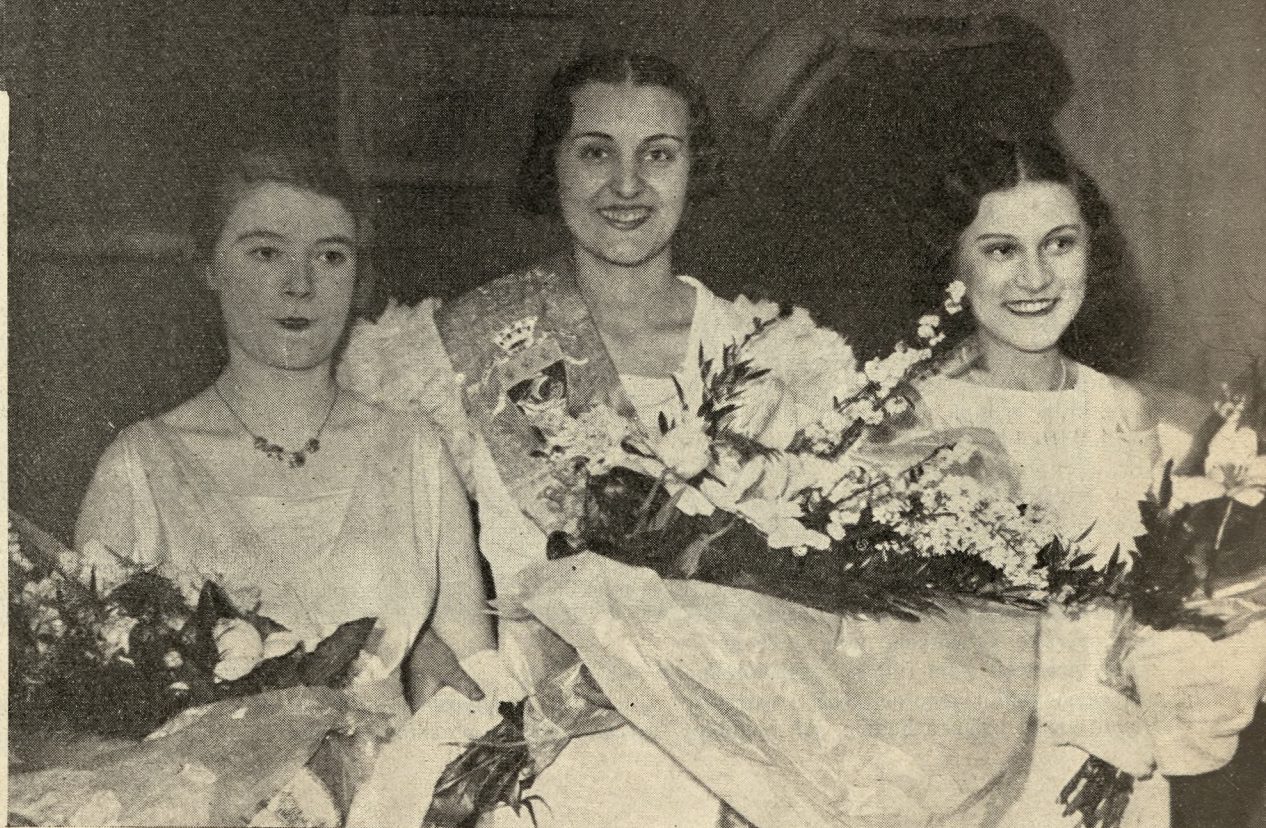
## CESARZOWA MANDZURJI.

Piękna Chinka, żona obecnego cesarza Mandzurji, Pu-Yi, w pałacowym ogrodzie.

## NOWE POSŁANKI.

Lady Peacock jest pierwszą kobietą, powołaną do Zgromadzenia Ustawodawczego w Australji (Victoria).

Podczas ostatnich wyborów w Norwegji weszły do Parlamentu trzy kobiety: Dr Signe Swensons, Helga Karlsen i Helga Ramstard.



## NA DZIECI OCIEMNIALE.

W Londynie urządzono wielki dziecienny festyn kostjumowy na rzecz dzieci ociemniałych. W festynie mogły brać udział tylko dzieci poniżej lat 12. Na zdjęciu widzimy jedną z uczestniczek, pytającą się o drogę typowego londyńskiego „Bobby”.



### TLUSTY WÓŁ W POCHODZIE PÓLPOŚCIA WE FRANCJI.

W dzielnicy Gros-Cailoux w Paryżu urządzono uroczysty pochód z okazji półpościa, w którym obok wszystkich „królowych przedmieścia” brał udział wypasiony ciolak, jako zapowiedź kończącego się postu.

### MUNDUR DLA KOBIET NIEMIECKICH.

Granatowa welwetowa marynarka do jasnej bluzki, granatowa spódniczka, takież beret i peleryna, oto mundur przepisowy dla przedstawicielek niemieckiego frontu pracy.



### KRÓLOWA COW-BOYÓW.

W Palm-Springs w Kalifornii na turnieju cowboyów wybrana została królowa, miss Ludwika Bramlette, która dowiodła, że posiada w należyty stopniu wszystkie zalety klasycznego cow-boy'a: dosiada nie-ujeżdżonego mustanga, bezbłędnie rzuca lassem i celnie strzela do ruchomej tarczy.



# Projekt zatrudnienia pracowników umysłowych

Odpowiedź na ankietę zam. w Nr. 9 „Bluszczu“.

Odpowiedź moja na ankietę I. O. P. może będzie nie zupełnie ścisła, gdyż na I pytanie odpowiedzieć nie mogę, ponieważ obecnie jestem bez pracy. Chcę jednak wskazać projekt według mnie łatwy do przeprowadzenia, który może zatrudnić kilkadziesiąt (a może i więcej) osób mego zawodu, a pobocznie dać pracę i innym.

Przystępując do omówienia mego projektu, zaznaczam, że jestem aktorką (ukończ. Państw. Szkołę Dramat. w Warszawie z Dyplomem w r. 1923 i mam kilka lat pracy scenicznej na prowincji) zdolna, sumienną i inteligentną. Wiem, że jest dużo kolegów i koleżanek (obecnie też bez pracy), którzy tak samo jak i ja dążyli do sceny nie ze względu na karierę, a z głębokiego zamiłowania sztuki i pracy w teatrze. Biorąc pod uwagę ogólne zainteresowanie życiem kulturalnym i społecznym, mam wrażenie, że tacy ludzie potrafią dać z siebie dużo na prowincji, za bardzo skromne wynagrodzenie. Nagroda moralna — możliwość pracy w bliskim i droгим kierunku, przewyższy pewne niedostatki materialne.

Sporo jest w Polsce miast prowincjonalnych od 15 — 50 tysięcy ludności. Takie miasta rzecz jasna, nie mogą utrzymać własnego teatru, złożonego z kilkunastu osób zawodowych aktorów w zespole. Ale prawie w każdym istnieje kółko dramatyczne, prowadzone przez ludzi, często bardzo wartościowych moralnie, lecz bez wiadomości zawodowych w tym kierunku. Przypuszczam, że kierownictwo artystyczne i reżyserja powinny być prowadzone przez aktorkę lub aktora, gdyż 5-letnia nauka w P. S. Dr. i praktyka dają do tego prawo. W miastach, gdzie kółek dramatycznych niema, można je stworzyć.

Te kółka Artystyczno - Oświatowe mogą stać się ośrodkami kulturalnymi w poszczególnych miasteczkach.

Tyle w zakresie ogólnym.

Teraz postaram się uzasadnić mój projekt z punktu gospodarczego:

Przedtem jednak zaznaczę, że w miasteczkach o 5 — 15 t. l. też powinna znaleźć się zawodowa jednostka, która prowadziłaby pracę artystyczno - oświatową. Zakres tej pracy byłby szerszy artystycznie, przedstawienia mogłyby się odbywać 1 — 3 w. w miesiącu, myślę, że zato poranki lub odczyty miałyby powodzenie.

Poruszę jeszcze sprawę miast większych (w I rzędzie Gdynia!). W niektórych z takich miast, przy pomocy materialnej w pierwszym miesiącu mógłby się utrzymać teatr zawodowy złożony z 8 — 12 akt. w zespole.

Biorąc pod uwagę przeciętne miasto o 20 tys. ludn., można liczyć na 2 przedstawienia w tygodniu, plus raz na 2 tygodnie przedstawienie dla dzieci lub młodzieży.

Średnio w miesiącu powinno być 10—12 przedstawień, które mogą dać 1500 do 2000 złotych.

Tyle o przypuszczalnym dochodzie.

Rozchód według mnie przedstawiałby się tak:

Kierownik-reżyser (miesięcznie)	Zł. 250.—
malarz - dekorat. (w razie konieczności)	„ 200.—
Rekwizytor (pomag. przy ustaw. dekoracji)	„ 125.—
Chłopiec	„ 25.—
Bileter (5 zł. od przedstawienia)	„ 50.—
<b>Razem pensje wynosiłyby</b>	<b>Zł. 650.—</b>
Do tego dochodzą wydatki:	
Sztuki, przep. ról, drobne kanc.	Zł. 70.—
Farby i materiał na dekoracje	„ 150.—
Afisze, progr. i inne	„ 50.—
Nieprzewidziane (szczególnie w I miesiącu)	„ 80.—

Razem z gażami Zł. 1.000.—

Przypuszczając, że średnio dochód za miesiąc wynosi 1.500 zł., a rozchód 1000 zł. pozostałe 500 zł. po opłaceniu sali (ile to wyniesie, trudno określić, zależy to będzie w dużej mierze od tego, kto da salę: szkoła, czy osoba prywatna) będą składane w P. K. O. na konto I. O. P..

Taki jest mój projekt w krótkim zarysie. Dla wprowadzenia go w życie potrzeb-

ne będą pieniądze od 800 — 1000 zł. na każde miasto.

Gaża za 1/2 miesiąca: reżysera, malarza i rekwiz.	Zł. 285.—
Przejazd reżysera (ewentualnie i malarza)	„ 60.—
Remont, lub zmiana sceny i dekoracje	„ 500.—
Afisze, sztuki i inne nieprzewidziane	„ 155.—
<b>Razem</b>	<b>Zł. 800.—</b>

Te pieniądze I. O. P. potraci z kwot wpływających później na konto I. O. P.

Naturalnie, że w stosunku do poszczególnych miast zaliczka może być większa lub mniejsza, w zależności: od stanu sceny, odległości miejsca zamieszkania reżysera i dekor. do miejsca pracy i czy malarz-dekorator jest konieczny.

Proszę uprzejmie o rozpatrzenie mego projektu i w miarę możliwości zrealizowanie go. Dodam, że jest sporo osób, które nie boją się prowincji, a nawet ją lubią.

Jako dodatnie strony mego projektu, podkreślam: 1) umożliwienie pracy aktorom (ewent. i malarzom-dekor.) w swoim zawodzie.

2) podniesienie zainteresowania sztuką;

3) zorganizowanie życia kulturalnego, z uwzględnieniem zagadnień społecznych. (Odczyty, poranki, obchody). Z. G.

## wiadomości turystyczne dwutygodnik 40 gr.

Jedyny polski dwutygodnik fachowy, ukazuje się w formacie wielkich amerykańskich gazet, zawiera wszystkie informacje i wiadomości potrzebne turystyce i podróżnemu, broni interesów turystyki, popiera krajoznawstwo, hotelarstwo, przemysł turystyczny, zamieszcza obok informacji ciekawy przegląd z całego świata, mowele podróznice, feljetyony, opowiadania, etc., jest tani, kosztuje bowiem rocznie tylko 8 zł., półrocznie 4,50, kwartalnie 2,50. Abonenci otrzymują rocznie 24 numery

dwutygodnika oraz bezpłatnie wszystkie numery specjalne, jakie ukażą się w okresie ich prenumerat.

Egzemplarze okazowe wysyła bezpłatnie administracja, Warszawa, ul. Wilcza 6, tel. 8-85-84. Prenumeratę przyjmuje administracja, każdy listonosz i oddział pocztowy, każda większa księgarnia.

Sprzedaż pojedynczych egzemplarzy we wszystkich kioskach „Ruchu“ oraz w większych księgarniach.

DZIENNIK „CZAS“ DZIENNIK

wychodzący w Krakowie

od roku 1849

(7 razy tygodniowo)

wydaje co tydzień dodatek naukowo-literacki, a raz w miesiącu specjalny Dodatek Teatralny.

Prenumeratę przyjmują; Administracja „Czasu“ w Warszawie ul. Szpitalna 1 i Administracja „Czasu“ Kraków, Św. Tomasza 32, i wszystkie biura ogłoszeń i Urzędy pocztowe.

## Lęgi i wychów indycząt

Jak dotąd, to tylko indyki opiekują się zwycięsko kryzysowi. Wprawdzie hodowla indyków nie jest, jak kilka lat temu, kopalnią złota, ale nawet dziś racjonalnie prowadzona hodowla fachową ręką z olówkiem, kreślącym każdy grosz wydany, może być zupełnie dobrym interesem.

Zagranica bierze od nas prawie każde ilości, żądając tylko sztuk młodych, tłustych i sprawionych według tamtejszych wymagań. W kraju konsumpcja indyków, zwłaszcza w pewnych okresach jest stosunkowo duża, a gdyby hodowla ta się szerzej rozprzestrzeniła, mogłaby być jeszcze większa. To też śmiało można nawoływać do masowej hodowli tych ptaków. Wbrew ogólnemu mniemaniu ptaki te są łatwe do chowu i może mniej, niż inny drób podlegają chorobom. Oczywiście, podstawą każdej hodowli są zdrowo wyrosnięte pisklęta.

Oto garść wskazówek, dotyczących chowu indycząt. Zdrowe i dobrze żywione indyczki zaczynają się nieść w końcu lutego i do pierwszych dni kwietnia składają 20—24 jaj. Gdy się wyniosą, od razu należy je nasadzać. Jaj dajemy nie więcej, jak 18—22. Gniazdo musi być obszerne, ale możliwie płaskie. Na spód dajemy kawał darni, aby utrzymywała się pożądana wilgoć, na to warstwę grubego siana lub słomy. Indyczkę przed nasadzeniem oczyszczamy z robactwa przez opylenie pod pióra proszku perskiego. Jaja kontrolujemy 9-go dnia i niezależone usuwamy. Przez cały czas należy indykę żywić wyłącznie ziarnem i pamiętać dla niej o kąpieli i o świeżej wodzie do picia.

Wylęg następuje 28 lub czasem i 30-go dnia. Nie należy się, broń Boże, spieszyć z jakąkolwiek pomocą, bo się przynosi zwykle szkodę. Indyczka da sobie tu sama radę, pomagając pisklętom wydostać się ze skorupki. Po sńoczonym lęgu przenosi się indyczkę z dziećmi do świeżego gniazda, załanego na nowo. Wszelkie dawanie indyczętom pieprzu, maczanego w oliwie, smarowanie im nóg spirytusem i t. p. należy zaliczyć do dziedziny przesądów, które w nowoczesnym gospodarstwie nie mogą mieć miejsca. Przez pierwsze 30 godzin nie otrzymują indyczęta nic prócz czystej wody. Po tym czasie daje im się serek jajeczny z zieleniną. Serek przyrządza się następująco. Na każ-

de 15 piskląt bierze się 1 jajko i szklanekę gorącego mleka, w którym się jajko rozbija i dopóty ogrzewa, dopóki się nie zsiądzie. Następnie wyciska się przez szmatkę. Do tego serka dodaje się na ilość drugie tyle tartej bułki plus 2 takie części siekanego szczypiorku, krwawnika, srebrnika, liści pokrzywy i t. p. i trochę tłuczonych skorupki od jaj.

Tą mieszaniną karmimy indyki 5 razy na dzień w ciągu 3 dni. 4-go dnia dodaje się do serka 1 część śrutę z poślądu pszennego lub jęczmiennego (należy jednak odsiać ją na sicie, aby nie było plew).

Jako normę ilości paszy należy uważać tę, którą indyki zjedzą w ciągu 10 m., przejadanie się jest niewskazane i powoduje ociążałość.

Po 5 dniach przestajemy dawać serek jajeczny i przechodzimy na tańszą karmę. Połowa ilości to będzie pasza zielona, a drugą połowę stanowić będzie mieszanka zboża.

P. M. Karczewska, jako najpraktyczniejsze podaje następujące mieszanki.

I. 5 części śrutę z poślądu pszennego,

5 części kaszy jęczmiennej,

5 części kukurydzy śrutowanej,

5 części otrąb pszennych.

II. 10 części śrutę pszennej,

10 części kaszy jęczmiennej,

5 części mąki owsianej,

5 części kaszy jaglanej.

Śruta i kasze powinny być wymieszane z świeżym twarogiem lub zarobione maślaną. Jeśli można podawać do picia mleko słodkie, kwaśne lub maślaną, to to znakomicie przyspiesza rozwój indycząt i zapewnia łatwe koralenie. Wspomniała karmą są jaja mrówcze, t. j. poczwarki, brane ze środka mrowiska, sparzone ukropem i wysypane na ziemię. Jedzenie powinno być na świeżo przygotowane za każdym zadaniem na jakąś godzinę przed skarmianiem, aby śrutę i kasze miały czas zmięknąć.

Przez pierwsze dni trzymamy indyki pod dachem, chyba że jest specjalnie ładna pogoda, od 10-go jednak dnia staramy się, aby jak najdłużej przebywały na powietrzu. Ponieważ indyczka ma skłonność odchodzić daleko z młodem, przeto należy ją wiązać za nogę na długim miękim sznurku, drugi koniec umocowując do specjalnie na ten cel wbitego kołka. Indyczka w pierwszych dniach broni się od niewoli, ale potem przyzwyczaja się do tego.

Około 7-go tygodnia następuje okres krytyczny w życiu indyków — koralenie. W tym czasie należy indyki szczególnie starannie

"daj jeszcze!"



Czekolada prawdziwa mleczna  
**Tuchs**

żywić, dając im 2 razy dziennie pośląd pszenny i 2 razy paszę miękką. Trzeba je chronić przed wilgocią i zapewnić schron przed promieniami słońca. Gdy indyki się wykorała, stają się bardzo odporne i kończy się okres obaw hodowcy. Teraz tylko trzeba im zapewnić dobry paśnik i z początku dokarmiać je 2 razy na dzień, a gdy skończą trzy miesiące, jednorazowe dokarmianie wystarczy zupełnie. Ilość paszy, którą się w tym czasie powinno zadawać, trudno obliczyć, bo jest ona ściśle zależna od jakości pastwiska — np. przy paszeniu na rżyskach wszelkie dodatki są zbędne. Jako średnią normę trzeba brać 30 — 50 gr. ziarna dziennie na 1 sztukę i 1 litr maślanek lub kwaśnego mleka na 12 sztuk. Według doświadczeń hodowców francuskich potrzeba od wodzenia do 7-go miesiąca po 3 i pół kg. paszy treściwej na każdy kilogram przyrostu oprócz zieleniny i nabiału. Czyli teoretycznie koszt wyprodukowania 6 kgr. sztuki wynosi:

6 × 3,5 kgr. = 22 kgr. ziarna à 20 gr. 4.40 zł.

10.1 mleka chudego à 5 gr. 0.50 zł.

1 jajko do wylęgu à 20 gr. 0.20 zł.

5 jaj na paszę à 8 gr. 0.40 zł.

Razem 5.50 zł.

Do tego dochodzi obsługa, podatki i t. p. niechby 1,40 zł. = 7 zł., a za 1 kgr. indyka z łatwością osiąga się 1.50 za 1 kgr. żywej wagi, t. zn. średni zarobek na każdej sztuce można liczyć na 2 zł., jest to jeszcze całkiem nieźle.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

# Dom obsadzony jednorocznymi pnąciami

Jednoroczne pnącza to poczciwe roślinki, które pozwalają na „prędkie” ozdobienie naszego domku. W ciągu kilku tygodni otulony zostanie festonami zieleni i sprawiać będzie miłe i wesołe wrażenie.

Wybór roślin, które tu możemy użyć, jest tak duży, aż trudno nam się będzie zdecydować, bo wszystkie roślinki wyglądać będą ślicznie, o ile będą dobrze pielęgnowane.

Prawie wszystkie będą wymagały podpórek, te najlepiej dać z drutów lub sznurków, pionowo rozpiętych, po których się będą pięły. Druty te lub sznurki należy umocować jednocześnie z siewem lub sadzeniem roślinek. Grunt musi być doskonale doprawiony, głęboko spulchniony. W razie suszy trzeba roślinki obficie podlewać, a potrafią się nam odwdzięczyć obfitem kwitnieniem i silnym wzrostem, tak, że okryją szybko ściany.

Chcąc vegetację ich jeszcze przyspieszyć, należy je wysiewać w końcu marca do małych doniczek i dopiero gdy podrosną na jakie 10 — 15 ctm. wysoko, wysadzamy je do gruntu. Wysadzanie roślin pnących z doniczek powinno się odbywać z wielką uwagą i jak największą starannością, ponieważ rośliny te znoszą trudno przesadzanie. Z tego powodu podczas wyjmowania roślin z doniczek należy tak manipulować, aby nie naruszyć bryły ziemi, gdyż tylko w ten sposób roślinki się przyjmą. Jeśli z jakiegokolwiek powodu bryła się rozleci, w takim razie przyjmują się trudno i długo chorują. Szczególną uwagę podczas przesadzania roślin pnących należy zwrócić na silne wokoło nich obciskanie ziemi.

Na pierwszym miejscu wśród roślin zdalnych do okrywania ścian postawić należy — tykwy ozdobne — rośliny te powinny znaleźć jak najszerze rozpowszechnienie. Hodowla ich jest łatwa i daje dużo przyjemności, bo jest to roślina, która rośnie niesłychanie szybko i tak się zmienia, że każdy dzień prawie przynosi coś nowego. Najpierw cieszymy się wielkimi, jasno-zielonymi liśćmi, potem radują nas kwiaty, a potem dziwnych kształtów owoce, które dają się przetrzymać całymi latami.

Tykwy ozdobne mają wielkie, zielone liście, osadzone na mięsistych łodygach, osiągających przy

należytej pielęgnacji wysokość trzech metrów. Gałęzie tykwy rozrastają się szeroko i gęsto, skutkiem tego mogą bardzo szybko obsiąść duże przestrzenie murów. Owoce są nieduże, ale pięknych kształtów, zazwyczaj twarde i trwałe i można je latami przetrzymywać.

Bodaj, że żadna inna roślina nie rośnie tak szybko, jak one, oczywiście, że skutkiem tego potrzebują one bardzo dużo pokarmów i wilgoci, o czym zawsze pamiętać należy. Wysiewać je należy w połowie kwietnia do doniczek i wysadzać w połowie maja do gruntu, lub też koło 10 maja wprost na miejsce stałe. Wystawa dla tykw musi być słoneczna.

*Ogórkowój Sicyos angulata.* Jest to szybko rosnąca roślina o efektownych, ciemno-zielonych liściach. Gałązki jej w krótkim czasie osiągają wysokość 4 m. Wystawę musi mieć słoneczną, duży zasób pokarmów. Kwiatów u nas nie wydaje zupełnie, natomiast tam, gdzie chodzi o możliwie szybkie obrastanie ścian zielenią, jest ogórkowój pierwszorzędnym materiałem, gdyż roślina nadzwyczaj szybko się rozwija i w krótkim czasie darzy nas zwartą ścianą o intensywnej zielonej barwie. Nasionka wysiewa się po kilka ziaren w odstępach 10 — 12 ctm. a w połowie maja doskonale zakorzenione sadzonki przesadza się do gruntu. Wystawy wymagają słonecznej i w razie suszy codziennego podlewania.

Śliczną, nadzwyczajnie dekoracyjną rośliną jest *nasturcja*. Darzy nas ona nie tylko obfitem ulistnieniem w postaci okrągłych, niesłychanie dekoracyjnych w rysunku liści. Kwiaty ma piękne, kielichowate, grające gamą gorących kolorów, od jasno-żółtego do mocno-pomarańczowej barwy. Owoce, odpowiednio przyrządzone, dają doskonałą konserwę zastępującą kapary.

Należy uważać, aby pod nasturcję gleby nie przenawozić, bo wtedy wyrasta ona wprawdzie na 5 — 6 m. wysoko, ma olbrzymie liście, które same przez się są wielką ozdobą, ale kwitnie bardzo słabo. Nasturcja potrzebuje dosyć dużo wapna w glebie. Normalnie wyrasta nasturcja na 4 m. wysoko, udaje się dobrze tylko na południowej lub południowo-wschodniej wystawie. Wysiewa się ją na początku kwietnia po 3 — 4 ziaren w odstępach co 10 — 12 cm, a gdy sadzonki podrosną, wysadza się je do gruntu w początkach maja.

*Sepota, Cobeя scandeus* wyrasta do 4 metrów. Tworzy kwiaty w formie dużych niebieskich kielichów. Rozmnaża się z nasienia, które wy-

siewamy w połowie marca do wazonów lub paczek, a następnie po wejściu rozsadzamy roślinki pojedynczo do małych wazoników, a po 15 maja wysadzamy do gruntu.

*Wszelkie odmiany pomojóro* oddają nam tu również cenne usługi, bo wyrastają do 4 m. Kwitną białą, różową, czerwono i niebiesko z odcieniami. Wysiewa się je wprost do gruntu od połowy kwietnia do połowy maja.

*Chmiel japoński.* Roślina dorastająca do wysokości 5 m. o dużych, ciemno-zielonych, lub też pięknie pstrych liściach, kwiatów nie wydaje zupełnie, ale rozrasta się tak nadzwyczajnie szybko, że jest do okrywania ścian zupełnie niezastąpiona, a tem cenniejsza, że daje się użyć i na północno-zachodnie ściany. Chmiel japoński wysiewać w połowie kwietnia, sadząc co 12 — 15 cm. po 5 — 6 ziaren do doniczek i w połowie maja wysadzić je do gruntu.

*Zamroka skrzydlata (Plumbergia alata)* posiadająca duże skrzydlate liście. Kwiaty wydaje obficie, bo kwitnie bogato od połowy czerwca do września. Kwiaty ma gorąco żółte lub kremowe z czarnym środkiem, niesłychanie efektowne. Wyrasta do dwóch metrów wysoko i wymaga wystawy słonecznej. Rozmnaża się z nasion, wysiewanych w kwietniu, a po 15 maja wysadza się do gruntu. Sadzonki roślin, które się uprzednio hoduje w doniczkach lub inspekcje, posiadają wszystkie większe firmy ogrodnicze, bo jak dziś, to za stosunkowo niewielkie pieniądze można je nabywać. Która z czytelniczek nie zdąży już sama zasiać, niech sobie kupi flance gotowe.

Ślicznie wygląda i daje doskonałe rezultaty przy minimalnym nakładzie pracy *fasola turecka* t. zw. bukietowa. Roślina ta pochodzi z Ameryki południowej.

Rośnie szybko, bo w ciągu lata dosięga nieraz więcej, niż trzech metrów. Gdy ma dosyć pożywienia i wapna w glebie, kwitnie bardzo obficie. Kwiatki ma ładne o szlachetnym rysunku, zebrane w grona, o barwie gorąco szkarłatnej. Jest również piękna odmiana tej fasoli dwubarwna. Kwiat tej odmiany jest biały i tylko żągielek ma czerwony, co wygląda bardzo efektownie. Fasola daje się hodować zarówno w słońcu, jak w miejscach półcienistych, co jest bardzo ważną zaletą.

Wysiewa się koło 15-go maja po 2 — 3 ziaren w odstępach 10 — 15 cm.

Marzenna Saryusz-Stokomska.

# Kalendarzyk ogrodniczy

## ROŚLINY POKOJOWE W KWIETNIU.

Kończyć przesadzanie roślin.

Zwracać uwagę na podlewanie, gdyż w chwili rozpoczęcia wegetacji i tworzenia obfitych korzeni w tej porze rośliny wymagają dużo wody, dlatego też w słoneczne dni nawet dwukrotne podlewanie w ciągu dnia nie okaże się nadmierne; a za zraszanie rośliny są specjalnie wdzięczne w tej porze. Nawet kaktusy w kwietniu potrzebują wiele wody.

Zasiane w lutym i w marcu roślinki pikować do skrzyneczek, czy doniczek. Wspaniale idą, jeśli je można umieścić na t. zw. ciepłym spodzie, t. zn. w inspekcie, który pod koniec tego miesiąca opróżnia się z rozsada.

Dotyczy to przede wszystkim kaktusów, paproci, amarylisów, dracen i begonij. Kwitnące doniczki ustawiać w głębi pokoju, raz dla estetyki, a drugi raz dlatego, aby zbyt szybko nie przekwitły.

Rośliny, zimowane w piwnicy, wystawić na werandy lub balkony, przesadzić je, przyciąć i obficie podlać.

Wysiać do skrzynek na balkonach groszek, rezedę, petunję, powoję i inne letnie kwiaty. W kwietniu można dalej robić sadzonki pelargonij, fuksyj, mirtów, tradescancij, kulensów, róż miesięcznych, chińskich i t. p. Przesadzić przekwitłe azalie, kamelje, umieścić je na oknie w widnym miejscu.

Przekwitłe bzy, jaśminy, róże, fiołki i t. p. wysadzić w ogródku.

Dwa razy na tydzień zasilamy kwiaty roztworem sztucznych nawozów. Nawozy

te można kupić gotowe w formie mięszanek, sprzedają je wszystkie większe sklepy kwiatów lub też przyrządzić je w domu, a wtedy wypadną o wiele taniej.

Oto przepis: zmieszać 14 gr. 40 proc. soli potasowej, 20 gr. superfosfatu, 20 gr. saletry chilijskiej, sole te rozpuścić w 10 l. wody. Roztworem tym podlewa się ziemię w doniczkach.

*Marzenna Saryusz-Stokomska.*

## ODPOWIEDZI DZIAŁU OGRODNICZO-HODOWLANEGO.

*P. H. W. J. Lachowicz.* Róże należy zasilac wcześniej na wiosnę, dając po 5 kg. nawozu stajennego na każdy 1 m<sup>2</sup>—na ziemię ciężkie daje się nawóz koński, a na lekkie krowi.

Z nawozów sztucznych doskonała jest mieszanka Rosogen. Sto gramów na każdy 1 m<sup>2</sup> rabaty różanej rozrzucone wcześniej na wiosnę i tyle samo przed pierwszym zakwitnieniem daje różom wszystko, co potrzeba.

Gąsienice, które Sz. Pani opisuje, należą do motyla zw. zwójką różaną — tępic je przez ręczne obieranie, obcinanie opanowanych przez nie pędów.

Mszyce obiera się ręcznie. Przeciw jednemu i drugiemu stosuje się opryskiwanie w pierwszych dniach kwietnia i drugi raz w maju.

Ciecz do opryskiwania:

1) wyciągu tytoniowego 75 gr., szarego mydła 150 gr., wody 10 litrów;

2) spirytusu denaturowanego 300 gr., szarego mydła 300 gr., wody 10 litrów.

Zasadniczo wiosną można ogród wapnować, ale obecnie już na to zapóźno.

*P. Rychłowska. Jabłonna.* O pnączach damy artykuł w tekście. Z roślin, nie wymagających dużo światła i słońca, można

## Ważne dla pań domu!!

Pełny pokarm roślinny (fosfor, potas, azot)  
dla kwiatów i roślin pokojowych  
w pastylkach

# „TESP“

Użycie 1 pastylki na litr wody do podlewania  
wazonów raz na 7 dni, daje

## zdzumiewający efekt.

Ten konieczny w każdym domu pokarm roślinny, jako środek niezawodny do zasilania kwiatów i roślin pokojowych w cenie 50 groszy za kartonik, zawierający 20 pastylek, jest do nabycia w sklepach aptecznych, sklepach nasion i kwiatów.

polecieć Aspidistrję, tradescancję, paprocie i fikusy.

O leszczynie i jeżynach damy artykuł w tekście.

Przepis na wino z bzu czarnego: do wyciśniętego soku z jagód daje się na każde 5 l. z 1 kg. cukru zagotowanego z 1 l. wody oraz 1 dk. drożdży na każde 10 l. płynu. Fermentacja pierwsza trwa od 2 — 5 tyg. Po tym czasie wynosi się wino do piwnicy i po 2 miesiącach ściągamy płyn z osadu i zastawiamy dla dojrzewania na pół roku.

*P. Mydelska. Warszawa.* O łomikamiennicach i cylozach damy artykuł w tekście, jak również i o wyrobie żelatyny.

Przeciw mszycom stosuje się częste spryskiwanie odwarem nikotyny lub emulsją naftowo - mydlaną.

Nasienie czarnych korzonków wysiewa się w marcu na słoneczną głęboko skopaną grządkę, o starej sile nawozowej, w rowki 25 ctm. od siebie odległe. Po wzejściu należy roślinki przerwać i stale ziemię utrzymać pulchno.

*M. S. S*



## Sprawy służbowe

Sprawy służbowe to wieczna bolączka, nigdy nie wapniejące ognisko, podtrzymujące nieomal że w każdym organizmie domowym stały stan podgorączkowy.

Nasze pomocnice, nawet z typu najidealniejszych, są tak dalekie od ideału. A o tych przeciętnych, czy niżej przeciętności stojących, mówić nawet nie warto.

Zrzeszone pod sztandarem: kapełusza, modnego swetra i jedwabnych pończoch, poszły o całe kilometry naprzód po drodze wymagań i potrzeb osobistych, a wyraźnie cofnęły się na linii lojalnego ujmowania własnych obowiązków.

W tej dziedzinie, jak w wielu innych dziedzinach pracy zarobkowej, przeciwstawiającej pracodawcę, pracobiercy panuje stosunek niezupełnie zdrowy. Obydwie strony, może nie zawsze świadomie, uważają *rolą siebie*, jeżeli nie za dobroczyńców, to za łaskawców.

W każdym razie wśród naszych pomocnic domowych co najmniej 90 proc. ma poczucie, że materialna indemnizacja, jaka im przypada w udziale, stoi w odwrotniej proporcjonalnym stosunku do sumy wysiłku i „zaparcia się siebie”.

My znów, znużone trudnością związania końca z końcem, wiemy, czym jest w naszym budzecie ta *indemnizacja* i chciałobyśmy za jej cenę kupić, jeżeli już nie całkowicie, to chociaż względne, chociaż na niektórych punktach odciążenie. Mam wrażenie, że to obustronne poczucie pewnej krzywdy, wyzysku, jest podłożem braku życzliwości i harmonji, tej swoistej cechy stosunków służbowych w naszych domach.

Zobopólne ustosunkowanie się (wewnętrzne) dałoby się wypowiedzieć soczystym określeniem „krwiopijcy”, a jedyne rozwiązanie tego zawilego problemu to, albo możliwość obejścia się bez obcej pomocy (niedoścignione marzenie nieomal że każdej pani domu), albo też zobopólnie zdrowy i życzliwy stosunek, który będzie mógł powstać tylko na podwalinach wychowania całego zastępu pomocnic fachowych, ceniących swój zawód i

## BEZSENNOŚĆ wyniszcza organizm

a powstaje głównie wskutek zaburzeń układu nerwowego.

Ziola Magistra Wolskiego „Pasiverosa”, zawierające Kwiat Męki Pańskiej (Passiflora), łagodzą zaburzenia systemu nerwowego (nerwice serca, bóle głowy, histerję), sprowadzają krzepiący sen i doprowadzają system nerwowy do stanu normalnego.

**Ziola** ze znak. ochron. „**Pasiverosa**” do nabycia w aptekach i drogerjach (składach aptecznych).

Wytwórnia Magister E. Wolski, Warszawa, Złota 14 m. 1.

uzbrojonych w poczucie godności tego zawodu.

Tymczasem, nic z tego nie zarysowuje się na horyzoncie.

Cały szereg niedoborów organizacyjnych utrudnia zmontowanie gospodarstwa bez pomocy obcej. Utrudniają ten system i sami domownicy, nie poczuwając się do żadnego współdziałania w dźwiganiu jego ciężaru. O „zastępie służby fachowej” marzyć nie warto, bo mimo wysiłków podjętych na terenie *domoznawstwa* wszystkie prawie idą po linii teorii, traktują nadal taktykę dosyć po macoszemu.

Musimy przyznać, że, jak dotąd, mało mamy prawdziwych udogodnień i na niewiele się w najbliższej przyszłości zanosi. A jednym z tych najbardziej palących, z tych, o które każda z nas wołałaby wielkim głosem, gdyby wierzyła, że może być wysłuchana, jest paląca konieczność stworzenia nowego fachu: przygotowanej do swojej roli, odpowiedzialnej, wykwalifikowanej służącej.

Te dzisiejsze są to ptaki przelotne, które zahaczają się o nasze domy z braku środków do życia, albo też dla przeczekania okresu, dzielącego je od zmontowania w ten, czy inny sposób własnego życia. A wszystkie bez wyjątku ujmują swój fach wybitnie jednostronnie: to, co robią lepiej, gorzej, czy najgorzej, robią tylko z konieczności, nie z zamiłowania, nie z poczucia obowiązku, *nie dlatego, że uprawiają swój fach, a że muszą przeciw żyć.*

Z czym do nas przychodzą?

Ta, co umie gotować, najczęściej zaniedbuje sprzątanie; ta, która nie zna się na kuchni (dosłownie), zapewnia nas przy zgodzie, że nie zna wykwintnych potraw, ale ze skromnemi da sobie doskonale radę. Jeżeli ładnie pierze i prasuje, napewno nie ma pojęcia o jakiejś innej podstawowej czynności gospodarskiej. Znająca się na produktach, wydaje sumy, bo uznaje tylko najwykwintniejsze, a ta, która kupi wszystko, co jej w papier zawina, bo właśnie nie ma o niczym pojęcia, wydaje również sumy, bo wydawane pieniądze marnuje. Poza tem niema u nas prawie wcale służby domowej żeńskiej, o której możnaby powiedzieć, że jest w formie.

Obowiązek schludnego, przyzwoitego i odpowiedniego wyglądu; umiejętność nakrywania i podawania do stołu; uprzejmość o specjalnym charakterze służbowym, daleka od służalczości, a przeciwnie, świadcząca o takcie i kulturze służącej; inteligencja w załatwianiu telefonów, przyjmowaniu interesantów, opanowywaniu sytuacji; inteligencja w spełnianiu najdrobniejszych i najważniejszych czynności; umiejętność, jeżeli już nie estetycznego ujęcia swojej roli, to w każdym razie nie podeptania ciężkimi stopami estetyki przez nas powołanej do życia — to wszystko cechy służby prawdziwie wyszkolonej, *pracującej* w swoim fachu, szanującej swój fach, a nie takiej, która „spycha, aby zbyć”, a właściwie pogardza swoją rolą.

Nawet my, panie domu, Polki, dziedziennie obciążone przeświadczeniem, że jednak służyć nam — to pewnego rodzaju „uśmiech losu”, napewno znalazłyby nową i zdrową platformę ustosunkowania się do służby domowej, nauczyłybyśmy się szanować ich pracę, ufać im i liczyć na nie, co dzisiaj jest niepodobieństwem.

Nie jesteśmy pozbawione zmysłu wdzięczności dla placówek, które pracują nad posunięciem naprzód tak zwanego „domoznawstwa”. Nowe ujęcie tej „gałęzi wiedzy”, nowe systemy pracy, to są rzeczy cenne i nadwyraz pożyteczne, ale opatrnościowa będzie dopiero „nowa służąca”, która nie przekreśli swoim nieuctwem, niedbalstwem, brakiem zainteresowania i fachowości, swoją tępotą właściwego przystosowania do życia i możliwości korzystania z tego, nad czym pracują całe zastępy ludzi dobrej woli.

Czyżby rzeczywiście sprawa wychowania nowego typu służby domowej była w naszym społeczeństwie tak beznadziejna, że stoi ciągle na martwym punkcie?

Wanda Dobrzańska.

ZADAĆ WSZĘDZIE

**CHLOROMÓR**  **MOLE**

RADYKALNIE NISZCZY

PRODUKT ZJEDN. FABRYK ZW. AZOTOWYCH W MOŚCICACH I CHORZOWIE



*Nie zaznasz bólu, ni walki z zębami,  
Jeśli używasz „HEZADONT” i „CHLORAMI.”*

**CHLORAMI**  
USUWA NALOT NIKOTYNOWY  
HENRYK ŻAK · POZNAŃ

## Kursy organizacji gospodarstw przykładowych w mieście i na wsi

Idea gospodarstw przykładowych jest bardzo stara, ale ujęcie jej w formy pozwalające na wykorzystanie jej dla nauki innych jest nowe.

Dawniej mianem gospodarstwa wzorowego obdarzaliśmy domy, mające liczną i dobrze wytresowaną służbę, wzorowemi gospodyniami nazywaliśmy te, które umiały wystąpić ze wspaniałem święconem lub innym przyjęciem, te, których śpizarnie były pełne, czeladź syta, goście odpowiednio do swego stanu ugoszczeni.

Dzisiaj wyrazem „przykładowe” gospodarstwo określamy takie, które potrafi się dostosować do niesprzyjających warunków ekonomicznych, prowadzone jest rachunkowo i według nowoczesnych wskazań nauki, przepracowuje poszczególne działy tak, żeby one mogły się stać przykładem nowych metod, pozwalających na osiągnięcie postępu, a jednocześnie odporności w razie niespodziewanych a tak częstych wstrząsów.

Wychodząc z tego założenia, przeprowadzone zostały przez Radę Naczelną gospodarczego kształcenia kobiet w lutym i w marcu dwa kursy dla kierowniczek przykładowych gospodarstw, które przyjmują praktykantki i dają im teren do wyrobienia się.

Pierwszy kurs trzydniowy miejski odbył się w Państwowym Seminarjum Gospodarstwa i przeznaczony był specjalnie dla praktykodawczyń, u których przyszłe nauczycielki gospodarstwa, absolwentki seminarjum mogą odbyć praktykę, wymagającą obecnie przed otrzymaniem świadectwa kwalifikacyjnego.

Kurs obejmował następujące tematy: „Czego się spodziewałam od praktykantki i co otrzymałam” (p. H. Siemieńska), „Czego się spodziewałam od mej praktyki i co mi ona dała” (absolwentka P. S. N. G.), „Organizowanie zakupów, zapasów i rachunkowości w gospodarstwie domowym” (p. I. Mandukowa), „Organizowanie żywienia domowników” (M. Karczeńska), „Organizowanie porządku domowego i osobistego domowników” (p. St. Szoberowa), „Stanowisko praktykantki w środowisku jej pracy” (p. H. Siemieńska), „Obowiązki komisji praktyk, stosunek do niej praktykodawczyń i praktykantek” (p. St. Szoberowa).

Kursistki, a były niemi obecne i przyszłe kierowniczkę praktyk, miały sposobność zapoznać się z wzorowo prowadzonym gospodarstwem p. Szoberowej, która

nietyko otworzyła im gościnnie swoje mieszkanie, ale pozwoliła zbadać wszystkie jego tajniki, otworzyć każdą szafę i szufladę, zgłębić urządzenie kuchni i porządków, zbadać postępy w sprawności praktykantki, ujęte w graficzny obraz czasu, potrzebnego do wykonania tej samej czynności na początku praktyki i po pewnym przeciągu jej trwania.

Kurs zgromadził 18 uczestniczek, oprócz nich obecnych było kilka osób w charakterze gości.

Idea praktyk miejskich jest u nas jeszcze nowa w przeciwieństwie do Niemiec, gdzie tysiące „podpórek” (Stütze) pomaga w pracy domowej zamiast służących, pod czujnym okiem i troskliwą opieką pań domu. P. Siemieńska stwierdza w swym wykładzie wielkie zadowolenie, jakie jej daje pomoc inteligentnej praktykantki w zajęciach domowych, serdeczny stosunek, jaki się wytwarza między niemi na podstawie wzajemnego szacunku.

Kurs organizacji przykładowych gospodarstw wiejskich miał szerszy zakres, gdyż obejmował oprócz domu, wszystkie dochodowe gałęzie gospodarstwa, które prowadzą kobiety. Wywołał on takie zainteresowanie, że co dzień więcej uczestniczek zgłaszało się, tak że około 50 kobiet brało w nim udział.

Wykłady prowadziły prawie wyłącznie młode siły i możemy stwierdzić z pełnym uznaniem, że wywiązały się świetnie z przyjętych na siebie obowiązków, wykazując, że kto umie stosować w praktyce wskazania nauki, kto potrafi orjentować się w cenach różnych pasz i produktów i ma wyczucie koniunktur handlowych, ten nawet obecny kryzys żywności przetrwa.

Zwłaszcza pełne życia, twórczej energii i jasności wykłady p. Mierzwińskiej o produkcji mleka i kalkulacji w hodowli świń, pełny nowych myśli i głębokich ujęć stosunków rodzinnych i gospodar-

**ŁUPIEŻ DOKUCZA!**  
usuniesz go używając do mycia głowy  
wyłącznie mydła płynnego  
BUT 1.50 ZŁ.

**HEZAPO**  
KAMANIU WŁOSÓW ZAPOBIEGA HEZAPO SZOŚWA BUT 1.60  
HENRYK ŻAK · POZNAŃ

skich, wykład pani Sezanieckiej o prowadzeniu rachunkowości wywołał ogromne zainteresowanie. Doskonale ujęte były również zwięzłe i dobitne przemówienia p. Starzewskiej i p. Masłowiczówny o metodyce prowadzenia kontroli praktyk, p. Zabłockiej, instr. pow. warszawskiego o przykładowej organizacji hodowli drobiu i p. Bienkowskiej z Chyliczek o przykładowej organizacji gospodarstwa domowego na wsi.

Kurs ten prowadzony był przez p. M. Karczewską, która miała wstępny wykład o znaczeniu przykładowych gospodarstw, jako ośrodków postępu dla okolicy i terenów ćwiczebnych dla praktykantek. P. Chrystowska omawiała sposoby stopniowego doskonalenia urzędzenia i prowadzenia gospodarstwa.

Wykłady wywołały żywą wymianę zdań, dały impuls do doskonalenia gospodarstw, a przede wszystkim wpłynęły na przywrócenie wiary w siebie, w skuteczność systematycznej pracy, w naukę prawidłowo i inteligentnie stosowaną.

Wobec tego mamy pełne prawo stwierdzić, że włąły w pracę inteligencji ziemiankiej — nowe życie. Bliższych wiadomości dotyczących sekcji praktyk wiejskich, udziela Sekcja praktyk R. N. G. W. K. Marszałkowska 149, a praktyk miejskich: Sekcja Praktyk Państwowego Seminarjum Gospodarstwa, ul. Nowowiejska 43. Można tam również składać zgłoszenia o zarejestrowanie gospodarstwa, chcącego przyjmując praktykantkę, jak również zgłoszeń żłiwcząt, poszukujących praktyki.

M. Karczeńska



NA ŚWIĘTA...

Farmerki kalifornijskie przygotowują do wysyłki wielkie ilości jaj, w przewidywaniu zapotrzebowania świątecznego.

# Przepisy gospodarskie

## PALUSZKI DO BARSZCZU ALBO BULJONU.

Proporcja na paluszki robione przez maszynkę:  $\frac{1}{2}$  klg. mąki pszennej, 3 żółtka,  $\frac{1}{4}$  klg. sera szwajcarskiego, lekko obsuszonego,  $\frac{1}{4}$  klg. masła, soli do smaku, 2 łyżki śmietany kwaśnej. Proporcja na ciasteczka wykrawane foremką:  $\frac{1}{4}$  klg. mąki,  $\frac{1}{4}$  klg. sera szwajcarskiego,  $\frac{1}{4}$  klg. masła.

Zagnieść ciasto z powyższej proporcji, utrzeć na bardzo drobnej i ostrej tarce, przesiać przez rzadkie sito, aby oddzielić wszystkie grubsze kawałki. Pozostawić ciasto na pół godziny w chłodzie, aby stężało.

W pierwszym wypadku (paluszki przez maszynkę) kłaść ciasto do maszynki od mięsa, z której trzeba wyjąć noże, sitko, a zastąpić je specjalnym przyrządem do formowania ciasteczek. Wałeczki, jakie wyjdą z maszynki, przekrawać na równej długości paluszki, układać je na blasze niesmarowanej masłem. Piec szybko, ale nie rumienić zbyt, bo, jeżeli tylko są za silnie upieczone, nabierają goryczy.

Ciasteczka wykrawane foremką powinny być małe. Można je robić rozmaitych kształtów. Najładniejsze są, jeżeli wykroić małym kieliszkiem kółko i tymże kieliszkiem przeciąć go w połowie, przez co uformują się dwa ciasteczka: półksiężyc i podłużne zaokrąglone. Wałkować cienko. Po upieczeniu zdejmować z blachy bardzo ostrożnie, bo są nadwzajemnie delikatne i łatwo się kruszą. Układać do wystygnięcia jedną warstwą, gdyż zlepiają się łatwo. Przed podaniem wsunąć na chwilę do pieca, aby się odgrzały. Blachy nie smarować masłem, a ciasteczek nie smarować jajkiem.

## GRZANKI Z SZYNKA

Przygotować dowolną ilość grzanek wykrojonych z bułki obtartej ze skórki.

Usiekać 10 dkg. szynki gotowanej bez tłuszczu. Zrobić bardzo gęsty sos na podstawie niezrumienionej zaprażki z masła i mąki, którą trzeba rozprowadzić równymi ilościami mleka słodkiego i śmietanki. Zagotować, mieszając bezustannie, doprawić solą, białym pieprzem, kilkoma kroplami buljonu. Sos musi być bardzo gęsty. Zdjąć z ognia, dodać szynkę drobnitko siekaną, wymieszać. Dodać bardzo sztywno ubitą pianę z dwóch białek, znów wymieszać. Smarować na palec grubo zawczasu przygotowane grzanećki, smażyć na silnie rozgrzanym, bardzo obfitym tłuszczu (jak pączki). Przewracać ostrożnie. Po zrumienieniu wyjąć na bibułę, osączyć. Podawać natychmiast bardzo gorące, uło-



## Kosmetyka lekarska

Wszelkie niedokładności cery jak np. suchość lub tłustość, wągry, krostki, czerwoność nosa, odmrożenia, zmarszczki itd. znane są pod nazwą wad kosmetycznych.

Te skazy w urodzie powstają z przyczyn: zewnętrznych i wewnętrznych, dlatego dają się usunąć tylko przez właściwe leczenie.

Jedynym specjalnym, wzorowo urządzonym zakładem lekarskim w Polsce, gdzie przez leczenie usuwane są wszelkie wady kosmetyczne, jest „Pierwsza Lecznica Kosmetyczna i Chorób Włosów” Dr. med. Marty Biernackiej i dyr. Iny Kisielewskiej w Warszawie, przy ulicy Szopena 16.

żone na okrągłym półmisku i przybrane smażoną na maśle natką od pietruszki.

## WYKWINTNY MUS Z PIECZARKAMI.

Proporcja: 5 dkg. masła, 4 łyżki mąki,  $\frac{1}{2}$  szklanki mleka, 15 dkg. słoniny od gotowanej, wędzonej, szynki wieprzowej, 15 dkg. sera szwajcarskiego, utartego na tarce, 6 jaj. Masło i mąka do formy.

Słoninę przefasować przez sito. Włożyć w rondel, dodać mąkę, wymieszać. Dodać masło i mleko, podgrzewać, mieszając, aż do zagotowania. Gdy masa wystygnie, dodać tarty ser i wyrabiać łyżką drewnianą, rozbijając po jedne 6 żółtek. Na końcu ubić sztywną pianę z pozostałych białek, lekko wymieszać z masą, którą trzeba włożyć do wysmarowanej masłem i wyprószonej mąką formy budyniowej. Gotować na parze pół godziny, wstawić z formą do piecyka na 15 minut. Wyjąć z formy na okrągły półmisek, oblać gęstym sosem beszamelowym z pieczarkami.

## SOS VINAIGRETTE.

10 łyżek od herbaty wyborowej oliwy nicejskiej, 3 łyżeczki octu winnego, albo soku cytrynowego, soli do smaku, łyżeczkę kaparów, pół łyżeczki siekanej natki od pietruszki, trochę siekanego szczypioru (młodego) wymieszać, wlać do sosjerki, podawać jako sos, do gorącej (gotowanej) główki cielecej, nóżek, ozora i t. p.

## SOS MAJONEZOWY KLASYCZNY.

Proporcja: Na każde dwa żółtka szklanka wyborowej oliwy nicejskiej, sok cytrynowy i sól do smaku.

Zasada przyrządzania majonezu, to: roztarcie żółtek łyżką drewnianą i dalsze cierpliwe ucieranie (w jedną stronę), dopóki nie wyjdzie wszystka oliwa, którą trzeba z początku, dopóki się żółtka z oliwą nie połączą, kapać po kropli, a później lać wazjutkim strumyczkiem. Gotowy sos trzymać w chłodzie.

## SOS TATARSKI.

Przyrządza się tak samo, jak majonezowy, z tą różnicą, że z żółtkami rozciera się musztardę, biorąc łyżeczkę od herbaty na dwa żółtka. Do gotowego sosu dodaje się drobnitko posiekane korniszony marynowane i dopiero po wymieszaniu z nimi doprawia odrobiną octu, jeżeliby był za mało kwaśny. Można też dodać trochę białego pieprzu.

## SOS REMOULADE.

Tak samo, jak tatarski z dodatkiem (oprócz korniszonów siekanych) kaparów i siekanej zieleninki.

## CHRZAN ZE ŚMIETANĄ NA SUROWO DO GOTOWANEGO PROSIAKA.

Utarty chrzan wymieszać z wyborową młodą, gęstą świeżą śmietaną, posolić do smaku, dodać odrobinę soli.

## WYKWINTNA LEGUMINA Z CZERSTWEJ BAKKI.

Przygotować gęstą marmoladę morelową (z suszonych morelek) na podstawie syropu, zrobionego z niewielkiej ilości cukru i słodkiego białego wina. Pokrajać babkę w równomierne plastry, nasączyć lekko ocukrowanym białym winem. Smarować każdy plaster marmoladą morelową. Złożyć do pierwotnego kształtu. Wsunąć do pieca nakrytą, aby się dobrze rozgrzała, a nie wyschła. Na wydaniu postawić na metalowym, okrągłym półmisku, posypać cukrem pudrem, oblać mocnym arakiem, zapalić. Podać do stołu w płomieniach.

## GRZANKI Z CIASTA DROŹDZOWEGO.

Pokrajać zręczne grzanećki z czerstwego ciasta drożdżowego, umaczać w słodkiej śmietance, osączyć, ułożyć na ogniotrwałym półmisku, posypać cukrem mialkim, wsunąć do pieca, zrumienić. Posmarować każdą grzankę rozgrzaną marmoladą owocową, ułożyć na niej piękny owoc kompotowy (bez pestki) np. połówkę brzoskwini, moreli, renklodę, gruszkę. Syrop wymieszać z niewielką ilością marmolady owocowej, zagotować, polać gorącym grzanki

Melba.



## KOSMETYCZNA PIERWSZA LECZNICA

Dr. med. M. BIERNACKIEJ i INY KISIELEWSKIEJ, Szopena 16.

Usuwanie wad kosmetycznych. Leczenie włosów.

## Książki nadesłane do Redakcji

TOW. WYDAWNICZE „RÓJ“.

R. H. Bruce Lockbardt: „Pamiętniki angielskiego agenta“.

W. Katajew: „Naprzód, czasie!“ przełożył dr J. P. Zajączkowski.

Michał Szolochow: „Zorany ugór“. Z rosyjskiego przełożyła Halina Pilichowska.

Edmund Miller: „Fikcyjna postać“ — powieść.

Wanda Melcer: „Swastyka i dziecko“.

GEBETHNER I WOLFF.

Michał Rusinek: „Człowiek z bramy“.

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ.

Jerzy Bandrowski: „Na polskiej fali“. Powieść dla młodzieży z rycinami. Wydanie trzecie.

WYNIK KONKURSU NA PLAKAT

p. t.

„O ROZBUDOWĘ GDYNI“.

W wyniku konkursu na plakat artystyczny o osiedlaniu się w Gdyni, rozpisanego przez Ligę Morską i Kolonjalną wraz z Towarzystwem Budowy Osiedli w Gdyni — nadeszło 80 prac.

Sąd konkursowy pod przewodnictwem p. prof. Edmunda Bartłomiejczyka przy udziale znanych grafików pp. Tadeusza Gronowskiego i Edmunda Johna przyznał następujące nagrody: 1-szą w wysokości Zł. 650.— pracy opatrzonej godłem „Kadłub B“, 2-gą Zł. 400.— pracy godło „Wielka Woda“, 3-cią Zł. 250.— pracy godło „T. O. B.“, 4-tą Zł. 100.— pracy godło „BU“ i 5-tą Zł. 100.— pracy „Stacr“.

Po otworzeniu kopert okazało się, że 1-szą nagrodę otrzymali pp.: M. Nowicki, Tadeusz Pawluć i Olgięd Tarnowski, J. Hryniewiecki i St. Sandecka, 2-gą pp. 3-cią p. B. Surallo, 4-tą pp. M. Nowicki, J. Hryniewiecki i St. Sandecka, 5-tą p. Stanisław Grajewski.

Wszystkie prace nienagrodzone są do podjęcia w Oddziale Towarzystwa Budowy Osiedli w Gdyni, Warszawa, ul. Marszałkowska Nr. 118 do dnia 15 czerwca 1934 roku.

WIELKA REWJA MODY.

Komitet Przyjaciół Sztuki Polskiej, pozostający pod honorowym protektoratem pani premierowej Januszowej Jędrzejewiczowej, urządza staraniem pani ministrowej Janowej Szembekowej, wielką Rewję Mody (kolekcja wiosenna), która odbędzie się w Cafe Adrja, dnia 8 kwietnia, t. j. w niedzielę o godz. 12-iej w poł. Konferencier Wera Bobrowska i Igo Sym. Występy artystów. Wielkie atrakcje.

Bilety nabywać można w „Icarze“ i przy kasie Adrji.

## WYTWÓRNIĄ FORM BIBUŁKOWYCH

TOW. WYD. „BLUSZCZ“

### „Moja Krawcowa“

posiada na składzie formy bibułkowe wszystkich modeli zaopatrzonych numerem i literą podawanych w „BLUSZCZU“.

Dobra forma bibułkowa jest niewątpliwie podstawą każdej eleganckiej sukni, jeśli pani tę suknię szyje sama, lub przy pomocy domowej krawcowej, należy więc stanowczo przed skrojeniem sukni, palta czy kostjumu zamówić formę bibułkową. Zrobić to trzeba w następujący sposób: po wybraniu modelu porównać swoją miarę z jedną z podanych wielkości.

wielkość I gors (połowa) 44 cm., biodra 50 cm.

wielkość II gors (połowa) 48 cm., biodra 52 cm.

wielkość III gors (połowa) 56 cm., biodra 60 cm.

i na załączonej do wycięcia karcie, lub na zwykłej karcie pocztowej wypisać numer, i literę modelu oraz jego wielkość.

Ceny form bibułkowych są następujące:

kategoria I: suknie, palta, kostjумы, szlafroki, piżamy — zł. 1.50

kategoria II: spódnice, bluzki, bielizna, formy dziecięce — zł. 1.—

Przesyłka pocztowa 30 gr.

Równocześnie z zamówieniem trzeba przesłać należność przekazem pocztowym lub na konto P. K. O. 170. Forma zostanie wysłana natychmiast po otrzymaniu należności.

Zamawiającym za pobraniem pocztowym dolicza się koszty przesyłki w sumie

1 zł. 35 gr.

UWAGA: Wytwórnia „Moja krawcowa“ podejmuje się również wykonania form bibułkowych do dostarczonych modeli z innych pism w cenie 2 zł. 50 gr. za formę kateg. I i 2 zł. za kateg. II.

Do wytwórni form bibułkowych

„Moja krawcowa“

### ZAMÓWIENIE:

Proszę o dostarczenie podług adresu wskazanego na odwrocie następujących form bibułkowych:

Sztuk .....	Palto model .....	wielkość .....	cena zł. 1.50
„ .....	Suknia model .....	wielkość .....	„ „ 1.50
„ .....	Kostjum model .....	wielkość .....	„ „ 1.50
„ .....	Szlafrok model .....	wielkość .....	„ „ 1.50
„ .....	Piżama model .....	wielkość .....	„ „ 1.50
„ .....	Bluzka model .....	wielkość .....	„ „ 1.—
„ .....	Matinka model .....	wielkość .....	„ „ 1.—
„ .....	Spódnica model .....	wielkość .....	„ „ 1.—
„ .....	Bielizna damska model .....	wielkość .....	„ „ 1.—
„ .....	Bielizna męska model .....	wielkość .....	„ „ 1.—
„ .....	Forma dziecięca model .....	wielkość .....	„ „ 1.—

Ogólną sumę zamówienia zł. . . . . gr. . . . . wpłacam równocześnie na konto P. K. O. 170 — przesyłam przekazem pocztowym (niepotrzebne skreślić)

(podpis)

DO REDAKCJI TYGODNIKA „BLUSZCZ“

w WARSZAWIE

Solec 87.

Niniejszem zamawiam kurs Linguaphone języka — francuskiego — angielskiego — niemieckiego — po obniżonej cenie zł. 155.— (zamiast zł. 200.—) przy wpłacie gotówkowej — po obniżonej cenie zł. 165.— (zamiast 220.—) przy spłacie ratami po zł. 35.— miesięcznie (5 rat).

Równocześnie zamawiam gramofon po obniżonej cenie zł. 125.— (zamiast 180.—) przy wpłacie gotówkowej — po obniżonej cenie zł. 150.— przy spłacie ratami, przyczem wraz z kursem Linguaphone wyniesie to zł. 295.—, płatnych w 8 ratach (pierwsza zł. 36.—, następne po zł. 37.—).

(Niepotrzebne wykreślić.)

Imię i nazwisko zamawiającego .....

Zawód .....

Dokładny adres .....

# Dla miłośniczek ogrodnictwa

polecamy z biblioteki  
„Życie Praktyczne“

- MÓJ OGRÓDEK (kwiaty)
- MÓJ OGRÓDEK (drzewa i krzewy ozdobne)
- MÓJ OGRÓDEK (warzywa, inspekty, róże)
- ROŚLINY POKOJOWE
- OWOCE W MOIM OGRÓDKU
- PĘDZENIE ROŚLIN W POKOJU
- ZIOŁA LEKARSKIE NAJLEPSZYM ŹRÓDŁEM DOCHODU
- OZDABIANIE WFRAND, BALKONÓW i OKIEN
- NASIENNICZTWO PRAKTYCZNE i DOCHODOWE
- HODOWLA KAKTUSÓW

Cena każdej książki 1 zł.  
Z przesyłką pocztową 1 zł. 30 gr.

Do nabycia w Tow. Wydawn. „BLUSZCZ“ – Warszawa, Solec 87  
i plac Zamkowy 9 oraz we wszystkich większych księgarniach.

## KARTA POCZTOWA

NADAWCA:

Nazwisko i imię

Adres

Znaczek  
za  
20 gr.

Do  
wytwórni  
form bibułkowych

„MOJA KRAWCOWA”

Tow. Wyd. „BLUSZCZ”

Plac Zamkowy 9  
WARSZAWA

Czytelniczki

nasze

prosimy, by żądały  
pism kobiecych we  
wszystkich kawiarniach,  
cukierniach,  
restauracjach, czytelniach i t. d.

Najtańsza stosunkowo do  
objętości, najobszerniejsza  
(około 3.000 przepisów),  
ponadto bogato ilustrowana

M. MARCISZEWSKIEJ

## DOSKONAŁA KUCHNIA

niezbędna dla każdej dobrej gospodyni

w futerale cena zł. 10.—

Przy wysyłce pocztą porta nie liczymy.

Wysyła Tow. Wydawn.  
„BLUSZCZ” — Warszawa,  
pl. Zamkowy 9 i Solec 87

Konto P.K.O. 13.555.